Nr. 49. Kraków, dnia 4 grudnia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

W sprawie żydowskiej.

I.

Powrotną falą napływa ku nam kwestya żydowska. Stanęła obecnie na porządku dziennym w Królestwie Polskiem, a obecnie coraz silniej zaznacza się u nas w Galicyi. Obie bowiem dzielnice Polski mają bardzo znaczny procent ludności żydowskiej i obie sprawy tej nie rozwikłały.

Jedynie Wielkopolska pozostaje nam wzorem: co prawda nie posiada ona wcale tak silnego odsetka ludności żydowskiej, a łatwiejsze tam rozwiązanie, bo ogół żydowski lgnie do kultury niemieckiej. Nic więc dziwnego, że w Wielkopolsce ogół polski uważa żywioł żydowski za zupełnie sobie obcy i wrogi, zwłaszcza, że żydzi nieraz, jak np. przy ostatnich wyborach miejskich w Poznaniu, szli ręka w rękę z hakatystami. Niema więc tam złud asymilatorskich, niema nadziei, aby żydów można było kiedykolwiek uważać za część społeczności polskiej, bo oni sami do niej się nie poczuwają, ani też poczuwać wcale nie chcą. Łatwiejsze wyjście, bo i sprawa jaśniejsza.

Inaczej w Królestwie Polskiem, inaczej w Galicyi.

Żydów w Królestwie było zawsze poddostatkiem, a rozsiedli się oni przedewszystkiem po miastach i miasteczkach. Opanowali handel i przemysł. Jak w Galicyi mawiają, że każdy szlachcic ma swojego żydka (nb. w tem znaczeniu, że ma kredyt u żyda), tak w Królestwie nie było instytucyi, w którejby żyd nie był pośrednikiem.

Korona ma więcej tradycyi państwowych polskich, aniżeli Galicya i łatwiej było jej ciążyć tradycyami nad żydami. Istotnie wśród mas żydowskich znajdowały się tam typy szlachetne i przepojone ideałami polskimi. W tych środowiskach żydowskich, które uważają się za polskie, wyrastał najczęściej postęp i liberalizm. W atmosferze prądów tzw. wolnomyślnych, to jest takich, co rozluźniają węzły społeczne i normy etyczne, żydzi - społecznicy, żydzi publicyści, żydzi-literaci czuli się najlepiej. Rodziła się w tych środowiskach nienawiść nie tylko do katolicyzmu, ale do wszelkich wierzeń religijnych wogóle; rodził się nastrój wrogi dla wszelkich uczuć narodowych, dążących w konsekwencyi do złamania obecnych stosunków politycznych. Już nie czynnej akcyi powstańczej postęp się przeciwstawiał, ale siał dezorganizacyę i dezoryentacyę narodową. Wodze postępu rwali wszelkie marzenia narodu o wolności i wyśmiewali dążenia do niepodległości; zadazaś narodu ograniczali jedynie do utrzymania stanu obecnego.

Kiedy więc w Królestwie po upadku powstania styczniowego nastąpiła reakcya przeciwko prądom ku wolności, w obozie pozytywistycznym pierwsze skrzypce co rychlej grać poczęli żydzi. A kiedy pod wpływem prądów i zachodnich, niemieckich i wschodnich, rosyjskich niemal równocześnie zaczął się krzewić socyalizm, żydzi znaleźli dla swych zamierzeń ujście dogodne. W każdej partyi socyalistycznej, działających od lat blisko 30 na terenie Korony, żydzi zajmowali prawie zawsze dominujące stanowiska. Zawcześnie (i nie wolno) posiłkować się nazwiskami, aby obronić swe poglądy — ale każdy obeznany z życiem wewnętrznem Korony, potwierdzi ich prawdziwość.

Kiedy w okresie t. zw. rewolucyjnym Rosyi przyszło do zaburzeń i pogromów żydowskich, zorganizowanych przez partye czarnosocinne, opierające się o reakcyjny rząd, wówczas to żydzi zaczęli uciekać na Zachód Królestwo Polskie, w którem dla żydów żadnych ograniczeń niema, stało dla nich otworem, jak otworem stała także Galicya i Bukowina.

Tłumy żydostwa wtargnęły do kraju polskiego, tłumy nam zupełnie obce. Władają językiem rosyjskim i żargonem, a podlegli są niepodzielnie kulturze rosyjskiej. W konsekwencyi stali się ci żydzi rozsadnikami rusycyzmu między

nami. Separatyści, niżsi od nas kulturą i dlatego nas tembardziej nienawidzący, pogrążeni w nędzy i zazdroszczący względnego dostatku Polakom, „Litwacy“ (ci żydzi przybysze) stali się obok Moskali najzacieklejszymi naszymi wrogami. „Precz z Polską“ — grzmiały ich okrzyki na wiecach; „Polska — to trup, który proletaryat po jej śmierci powstały kopnąć i odrzucić powinien“ — rozlegało się z mównic publicznie w Warszawie; pisma żydowskie napadają na prywatną szkołę polską, ale równocześnie rabini ciaćkają się z dostojnikami rządowymi przy otwarciu żydowskiego gimnazyum prywatnego w Lublinie przy pomocy subwencyjnej rządu; wprost: żydostwo orgie ostatnie wyrabia po miastach Królestwa, ono, co w Warszawie stanowi prawie połowę ludności, w Łodzi, Lublinie większość, i większość w tylu po mniejszych i większych miastach i miasteczkach.

Rzecz naturalna, iż w tych warunkach musiał w Królestwie powstać silny ruch samoobronny. Wystąpiono przeciwko żydom nie dla względów wyznaniowych lub rasowych, ale dlatego, że instynkt samoobronny zniewalał do zwrócenia się przeciwko tym czynnikom, które stanowią w naszym organizmie organizm obcy, deprawujący nas i siłą rzeczy spychający na plan dalszy. Oryentacya społeczeństwa polskiego zmieniła się tak dalece, że nawet żydzi wychowani w tradycyach polskich, jak dr. Henryk Nusbaum, brat profesora lwowskiego uniwersytetu, w pismach domagali się ograniczenia praw żydów przy samorządzie miejskim w Królestwie.

Bo żydzi są tam niebezpieczni dla tego: że są nam organizmem zupełnie obcym i wrogim bezwzględnie; że usiłują nam narzucić przewagę kapitalistyczną; że są czynnikiem społecznie i etycznie rozkładającym, bo reprezentującym wolnomyślicielstwo zachodnie i moskiewski anarchizm; a wreszcie dlatego, że są popierani przez rząd rosyjski, który w ten sposób pragnie nas zaszachować w własnym kraju.

Te stosunki w Królestwie nie były bez znaczenia i dla Galicyi. Jakże się kwestya żydowska przedstawia w naszym zaborze? *.*

Oaza niemiecka w Galicyi.

Piszą nam z kresów:

W r. 1907 Rada miejska w Białej przerażona „agitacyą“ polską oglądać się poczęła za dokumentami, któreby nietylko w cieniach archiwum lecz i w świetle dziennem dyskusyi publicznych i w półmroku półek księgarskich przyznał jej prawnie stan posiadania na szmacie ziemi polskiej. Urzeczywistnieniu tych życzeń przyszedł z pomocą p. E. Hanslik, geograf, urodzony w Białej, Niemiec, który za cel długoletnich badań naukowych obrał ciekawy problem istnienia i rozwoju „niemieckiego miasta w Galicyi“. (E. Hanslick: Biała, eine deutsche stadt in Galizien. Wiedeń 1910). I ostatecznie możnaby uwierzyć w czysty sentymentalizm wiążący autora z tematem tak wdzięcznym, jak monografia ojczystego miasta, „w którem znał każdy kamień“, lub interes naukowy, jaki obudzić mógł problem istnienia niemieckiej wyspy w morzu słowiańskiem, gdyby mógł był utrzymać sie na stanowisku bezstronnego badacza. Atoli, ani obszerne ramy i poważny zakrój dzieła, ani studya na źródłach historycznych oparte, nie uchronią go od zarzutu stronniczości, gdy na podstawie sumiennie zebranego i przytoczonego materyału bądź to wysnuwa wnioski i dowody w spornych dla obu narodowości kwestyach, bądź też umiejętnem milczeniem usuwa w cień szczegóły niedogodne dla założonej przez siebie teoryi.

Punktem wyjścia nader złożonej budowy dowodzeń jest naturalnie ideowe i kulturalne posłannictwo Germanii. Atoli upojenie własną chwałą jest tak wielkie u tego potomka Teutonów, iż zapomina o istnieniu i znaczeniu dziejowem innych, co najmniej równie wysoko rozwiniętych zachodnio-europejskich narodów. Szczególnie dziwnie wygląda to bezkrytyczne zapatrzenie się w własną chwałę, gdy autor zestawia potęgę wschodu i zachodu i w bezgranicznem samochwalstwie pomija rolę historyczną Hiszpanii, Polski i Węgier w walkach z naporem islamizmu. Z tego założenia wysnuwa się dowód aż nadto przejrzysty, że „niemiecka“ Biała, to pionier zachodnio europejskiej kultury u progów wschodniej Europy!

Pierwotna osada, powstała w w. XVI, była częścią dużej gminy Lipnik, należącej do dóbr królewskich. Pomimo skarg i utyskiwań na polskie jarzmo, pod które pójść musieli „wolni“ niemieccy chłopi, los ich nie był zbyt ciężki; wieś cieszyła się dobrobytem. Niemieccy osiedlnicy żyli w niezgodzie z zarządcami starostwa lipnickiego. Akty grodzkie zapisują nadużycia i gwałty obustronne, wobec czego traci znaczenie rzekoma przyczyna tego stanu rzeczy: „naturalna różnica kultur“. A już w zupełnem przeciwieństwie do narzekania na polski ucisk i gwałty stoi fakt utworzenia cechu sukienników w Lipniku.

(Dokończenie nastąpi.)

Żyć — to walczyć.

Życie, jak to życie, bywa różne.

Wesołe i miłe, to znów smutne i gorzkie, a są i takie chwile, że człowiekowi poprostu nie chce się żyć, że radby uciec na inny świat, a tu trzymają go tylko przyjęte obowiązki, czy to rodzinne, czy społeczne. I żyje tu i wyrzeka na swą nieszczęśliwą dolę.

Ten nastrój ponury przeważa w naszem społeczeństwie.

Wszędzie słyszymy przeważnie narzekania i skargi. Słyszymy je w potocznej rozmowie, słyszymy w literaturze, słowem, gdzie się tylko obrócimy.

Nie tylko starsi wyrzekają, wyrzekają i młodzi, a często nawet i dzieci, które dopiero żyć zaczęły, a już się skarżą.

I mnożą się z każdym rokiem samobójstwa. Wystarcza niewielkie zmartwienie, zawód miłosny, chwilowe niepowodzenie w pracy u starszych osób, a nie otrzymanie promocyi lub kara u dzieci, aby się targnęli na swoje życie.

Czego to dowodzi? Czy bohaterstwa, jak niektórzy utrzymują?

Nie! dowodzi to tylko braku silnej i wytrwałej woli, zaprawionej do walki z przeciwnościami.

Bo przecież po dniach smutnych i chmurnych, przychodzą jasne i wesołe. Ale my nie umiemy na nie czekać, nie umiemy ich szukać, a widząc chwilowo mrok, wmawiamy w siebie, że dla nas już piękne dni nie zabłysną.

A cóż nam wtedy pozostaje?

Albo przeżyć resztę życia, bez chęci i nadziei poprawy, albo ołowiem je zakończyć.

Niejeden napewno doczekałby tych jaśniejszych dni, gdyby silnie wierzył w ich przyjście i gdyby tę wiarę poparł czynami i ufnością we własne siły.

Bo — „żaden człowiek siły swojej nie zna dopóki jej z siebie w potrzebie nie wydobędzie“ — mówi Orzeszkowa.

My bardzo często swych sił nie znamy, nie chcemy ich szukać w sobie i wezwać do walki z niepowodzeniami życiowemi, lecz wolimy się poddać bezsilnej rozpaczy.

Prawda, że źródłem tej rozpaczy jest nasze wyjątkowe położenie, nasze klęski, które coraz częściej spadają na nasz naród, nasze niedostatki i wady, szerzące się coraz bardziej w społeczeństwie. Ale to nie dowód, że powinniśmy się poddać rozpaczy.

Rany nasze nie rozmazywaniem ich i płaczem uleczymy, lecz skutecznem lekarstwem.

Widzimy w narodzie pewne braki lub wady, starajmy się je wykorzenić. Widzimy klęski i krzywdy, starajmy się im zapobiedz i niedopuścić.

Bo rozum i wola mają taką siłę, że przed nią ustępują wszystkie nieszczęścia, walące się czy to na jednostki, czy na całe narody.

Gdy więc te dwie siły wezwiemy do walki z przeciwnościami życia, to ono będzie daleko szczęśliwsze, niż teraz; nie będziemy tak często wyrzekać, że życie jest złe, nieznośne i że nie warto żyć.

Że szczęścia bezwzględnego niema na świecie, każdy z nas o tem wie. Widzimy to z tego, że nikt nie zadawalnia się tem, co zdobędzie, lecz pragnie zawsze czegoś więcej. Biedny widzi szczęście w bogactwie, bogaty w sławie, uczony w zdobywaniu wiedzy, a gdy zdobędzie to, czego pragnął za młodu, nie powie: „Już mam dosyć“, ale wzbudza w sobie coraz nowsze pragnienia.

Jest to właściwość ducha ludzkiego. Ona to pcha go do wynalazków i poświęceń. A ile to ofiar zostawia w tym pochodzie ducha? To jednak nie odstrasza następców, którzy śmiało kroczą naprzód, do swego wymarzonego szczęścia.

Ta właściwość ducha ludzkiego stwarza postęp, a ta silna wiara, ta praca i poświęcenie, połączone z rozumem, najczęściej wieńczą pomyślnym skutkiem swoje usiłowania.

Dość przypatrzeć się awiatyce, aby stwierdzić prawdziwość powyższego twierdzenia. Ile to już było nieszczęśliwych wypadków z aeroplanami, a pomimo to wzloty znajdują nowych ochotników, którzy silnie wierzą, że w końcu usiłowania swoje uwieńczą pomyślnym skutkiem, jak już tyle innych uwieńczyli. Bo tylko

„Z trudem bez końca, wiekuistym bólem,
Wszystko się dzieje i wszystko się stało!“ —

mówi wieszcz Krasiński.

My właśnie tej silnej wiary w lepsze jutro, w możność zwyciężenia przeciwności uczmy się od ludzi wielkich: poetów, uczonych i wynalazców. Umieć żyć, to znaczy umieć walczyć i zwyciężać.

Szanuj — prawość, zabraniaj złego, podejmuj trudy, a kochaj — piękno.

* * *

Małe słowo więcej nieraz boli, niźli wielka szkoda.

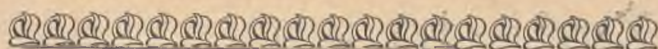
Czeski podatek narodowy.

Wiadomo, jak ofiarni są Czesi na cele narodowe. Składki daje każdy Czech i daje je ciągle, choćby groszami, gdy nie może inaczej. Ze składek załatwia się drugie tyle, a nawet więcej potrzeb kulturalnych czeskich, niż z pomocą budżetu krajowego i państwowego. Czech nie jest bynajmniej materyalistą; stara się bogacić, ale w celach idealnych, ażeby w dobrobycie mógł lepiej służyć ogółowi. Możnaby życie czeskie określić w ten sposób, że oni za pomocą dążeń do dobrobytu organizują się narodowo.

Składek jest mnóstwo, na wszystkie strony i doszło już do tego, że jedna drugiej wchodzi w drogę; zanosi się na chaos dobroczynności patryotycznej. Od pomysłowości i zapobiegliwości jednostek zależne powodzenie składek sprawia, że nieraz otrzymuje za mało instytucya pierwszorzędna, podczas gdy zbierze się więcej stosunkowo na jakąś potrzebę mniej naglącą. Zdarza się, że dana okolica nie zaspokoi należycie swych potrzeb lokalnych, a zbierze natomiast znaczne kwoty na instytucyę również lokalnego znaczenia, a położoną na drugim końcu kraju. Przygodność składek łączy się z nieobliczalnością wyników, wiedzie nieraz do zawodów, a to wpływa znów zniechęcająco na ofiarność publiczną. Ażeby temu zapobiedz, zamierza czeska Rada Narodowa znieść wszystkie składki na pewien ściśle z góry oznaczony cel, a skłonić ogół, żeby składał ofiary tylko z ogólnem określeniem: „na potrzeby narodowe“ — do dyspozycyi Rady Narodowej. Dodać należy, że każda znaczniejsza instytucya kulturalna, utrzymywana ze składek, ma w Radzie narodowej swego delegata.

Ażeby można było układać budżety składkowe instytucyi kulturalnych, rozszerzać ich zakres systematycznie według ułożonego z góry planu, powoływać do życia nowe — wogóle, ażeby można było wprowadzić systematyczną gospodarkę finansową w tego rodzaju przedsięwzięciach narodowych, proponuje Rada Narodowa, żeby każdy Czech oznaczył z góry roczną kwotę, którą złożyć obowiązuje się. W ten sposób zamieniłyby się składki przygodne na stały podatek narodowy.





Z słotą jesienną.

Widzisz, jak lecą liście z drzewa
i krwawo świecą — — —
...to łzy tak moje cicho lecą.

— — — — — —

Słyszysz, jak wichr się skarży i ulewa
dziwnie, żałośnie — — —
w cmentarnej dali —
...to dusza moja tak się żali
kwiatom i wiośnie!

—

Hej, ktoś gra... gra starą a znaną piosenkę,
co tłumem wspomnień w duszę się przelewa...
...dziewczyna przeszłą wspomina... wiosenkę...
na dworze suche lecą liście z drzewa.

Hej, ktoś gra... grą starą a znaną piosenkę
i leci piosnka w świat zwolna i cicha —
...na sercu dobrą ktoś mi kładzie rękę...
w alejach sadu uśpiona śmierć czycha...

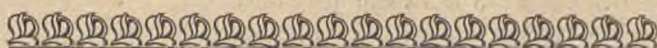
—

Noc taka długa bezkreśnie... bezkreśnie...
i coś mi — śni się... i coś przypomina...
...wszystko co było... było tylko we śnie...
moja w tem wina, bardzo wielka wina,

— — — — — — — — —

...snem było jeno...

Kraków. *Stanisław Stwora.*



Legenda o św. Krzysztofie.

Żył ongi na świecie olbrzym, nazwiskiem Oferusz. Miał być tak ogromnego wzrostu, że w wielkim palcu swej rękawicy wyprawił siostrze wesele, a kiedy mu matka umarła, on, chcąc jej grób usypać, nabrał w but swój ziemi, wytrząsnął ją na zwłoki matczyne, z czego utworzyła się wielka góra, tam zaś, skąd wziął ziemię, powstała przepaść. Siadł nad tą przepaścią Oferusz i opłakiwał matkę, a łzy, padając w przepaść, utworzyły morze. Wypłakawszy się, poszedł w świat szukać pana najpotężniejszego ze wszystkich, gdyż takiemu tylko chciał służyć.



Józef Ryszkiewicz.

Przejście granicy pruskiej przez oddział generała Giełguda dnia 14 lipca w 1831 r.

Wskazano mu dwór pewnego króla, o którym mówiono, że niczego się nie lęka. Król skwapliwie przyjął usługi olbrzyma i wkrótce uczynił go swym powiernikiem. Dobrze się działo na królewskim dworze Oferuszowi, ale pewnego razu zdarzyło się, że gdy jeden z dworzan wymienił w gniewie imię dyabła, król czemprędzej przeżegnał się. Oferusz był jeszcze poganinem i nie znał zwyczajów chrześciańskich, zapytał tedy króla: dlaczego uczynił znak dziwny.

— Dlatego, że się boję dyabła — odparł król.

— Skoro się boisz królu dyabła, więc jesteś słabszy od niego — rzekł Oferusz. — Nie mogę u ciebie służyć, poszukam tamtego, silniejszego pana.

Zaraz też udał się na poszukiwania dyabła.

Wędrując, znalazł się w puszczy, gdzie natrafił na czarnych rycerzy. Pośrodku, na wzniesieniu z głów trupich i innych kości ludzkich, siedział snać tego ponurego hufca wódz, który zagadnął olbrzyma wrzaskliwie:

— Czego tu szukasz?

— Szukam dyabła, ponieważ chcę mu służyć — odparł Oferusz.

— Ja właśnie jestem tem, którego szukasz — rzekł wódz czarnych rycerzy. — Podobasz mi się, przyjmuję cię do służby.

Pozostawał Oferusz w nowej służbie czas pewien, aż zdarzyło się, że szatan z hufcem swoim udał się na wyprawę do poblizkiego miasta. W drodze spotkano krzyż. Wódz szatanów, spostrzegłszy godło Męki Bożej, żachnął się i czemprędzej kazał zatrąbić na odwrót.

— Dlaczego to uczyniłeś? — zapytał olbrzym.

— Dlatego, że boję się Chrystusa — odparł szatan.

— A więc jesteś słabszym od Chrystusa. Nie mogę u ciebie służyć, udam się do Chrystusa.

To rzekłszy, Oferusz znów puścił się w świat, poszukując Chrystusa. Pustelnik pewien, zapytany przez niego: gdzie jest Chrystus i jak mu służyć można, odparł:

— Chrystus jest wszędzie, a służyć mu można, modląc się i pracując.

I zaprowadził olbrzyma nad bystry strumień górski, w którym większość ludzi przy przeprawie tonęła:

— Tobie — mówił — dał Bóg siłę niepospolitą i ciało olbrzymie, przenoś więc podróżnych na swoich barkach. Jeżeli to uczynisz dla miłości Chrystusa, przyjmie Cię on za swego sługę.

— Uczynię to dla miłości Chrystusa — rzekł Oferusz.

I przenosił dniem i nocą podróżnych przez strumień, wspierając się na wielkiej sośnie, którą wyrwał z korzeniem.

Pewnej nocy Oferusz spał głęboko, znużony pracą całodzienną, wtem słyszy głos dziecięcy, wołający go trzykrotnie po imieniu. Ocknął się i widzi przed sobą dziecię, które go prosi o przeniesienie na drugą stronę strumienia. Umieścił tedy dziecię na barkach i wszedł w wodę, która dawniej zaledwie kolan mu sięgała, a dziś była znacznie głębsza. Przytem zerwał się huragan, powstał szum wielki i wicher gwałtowny, woda burzyła się i kłębiła, dziecię zaś okazało się tak ciężkiem, że Oferusz zgiął się w pałąk i raz pierwszy w życiu uczuł strach. Zwrócił się przeto do dziecięcia:

— O dziecię, dlaczegoś ty takie ciężkie? zdaje mi się, że świat cały dźwigam na ramionach.

— Nietylko świat dźwigasz na ramionach, ale i tego, co świat stworzył. Jestem Chrystus, któremu służysz. Chrzcę ciebie w imię Ojca, w imię moje, w imię ducha św. Odtąd nazywać się będziesz Krzysztofor, t.j. piastun Chrystusa.

Krzysztofor chodził odtąd po świecie, nauczając Słowa Bożego, dopóki nie został za apostolstwo zamordowany przez pogan.

Posągi św. Krzysztofora spotykamy na domach w Krakowie i Kazimierzu. Była u nas taka wiara, iż kto ujrzał wyobrażenie tego Świętego, miał śmierć szczęśliwą.

Nędza nie jest nieszczęściem, nawet choroba. Wówczas dopiero jest człowiek naprawdę nieszczęśliwym, kiedy zostaje sam ze swoją trwogą i boleścią i kiedy nie może już wierzyć cudzym przysięgom, łzom nawet.

Wiek ziemi.

W gazecie „Journal“ profesor instytutu ocenograficznego, Alfons Berget zamieścił artykuł o wieku ziemi, w którym streszcza wynik najnowszych metod wyliczenia wieku naszego planety.

Uczeni obliczają, iż od czasu zjawienia się wody na naszym planecie upłynęło 100 milionów lat do chwili, kiedy woda oceanów zdołała rozpuścić takie ilości różnych soli, jakie znajdują się w niej obecnie.

Geolog szkocki Geikie, w celu określenia wieku ziemi, badał warstwy napływowe kory ziemskiej. Badania warstw najmłodszych wykazały, że formacya o grubości jednego metra wymagała czasu, stosownie do warunków, o 30 do 200 wieków. Więc sformowanie wszystkich warstw napływowych wymagało czasu od 90 do kilkuset milionów lat.

Ostatnie badania, dokonane przez Becquerela, i Curie co do siły promieniowania radium dostarczyły również wiele materyału. Fizyk angielski, William Ramsay obliczył na podstawie tych badań, iż dla sformowania tych ilości helium jakie zawierają minerały, w skład których wchodzi uran, potrzeba było około 400 milionów lat.

Wiek ziemi obliczają również na zasadzie stopniowego ochładzania się jądra ziemi. Na powierzchni kory ziemskiej strata ciepła przez promieniowanie jest trudna do zanotowania, gdyż ciepło słoneczne wynagradza ją w zupełności i utrzymuje mniej więcej temperaturę stałą, ale jądro ziemi stale się ochładza. Z powodu tego ochładzania jądro kurczy się i „usuwa“ z pod kory ziemskiej, która pozbawiona „oparcia“ zapada się miejscami i formuje na powierzchni „zmarszczki“, stanowiące łańcuchy gór (jedna z teoryi powstania gór).

Otóż powierzchnia gór wynosi około półtora procent całej powierzchni globu ziemskiego. Stąd wnoszą, że średnica ziemi zmniejszyła się o 7 tysięcznych swej pierwotnej długości. Takie zmniejszenie odpowiada obniżeniu się temperatury „jądra“ o 300 stopni, co wymaga około 2000 milionów lat.

Obliczywszy (czy dokładnie o to można się spierać) wiek ziemi, uczeni silą się określić również chwilę zjawienia się na niej życia organicznego. Oczywiście przedtem musiała już istnieć woda. Otóż lord Kelvin twierdzi, iż ochłodzenie kory ziemskiej do 365 stopni ciepła, kiedy już woda może istnieć w stanie płynnym nastąpiło



H. W. Koelcke. **Sprzedaż dzieci w głębi Rosyi.**

względnie prędko. Dalsze ochładzanie się szło jeszcze prędzej i do chwili, kiedy temperatura powierzchni wynosiła 55 stopni, to jest od chwili, w której wytworzyły się takie warunki, iż pierwsze zaczątki życia mogły się już zjawić, upłynęło zaledwie kilkanaście milionów lat. Przeto data zjawienia się na ziemi życia nie jest — zdaniem uczonych — o wiele „młodsza", niż data powstania ziemi: kilkanaście milionów, wobec olbrzymich liczb niewiele znaczy.

Helmholtz obliczył również i przyszłość ziemi. Wziąwszy pod uwagę wygasanie słońca i ochładzanie się jądra ziemi, Helmholtz określił, iż życie na ziemi może trwać jeszcze sześć milionów lat.

Więc setki milionów lat przeszłości, a „tylko" sześć milionów lat przyszłość!

Nad morzem.

— Mamusiu, kiedy wrócimy do Polski?

— Gdy będziesz zdrów, mój synku!..

— A kiedy ja będę zdrów?

— Jak będziesz grzeczny i nie będziesz rzucał ciężkiemi kamieniami, to — mówił doktór, że za parę miesięcy...

— A za ile miesięcy?

— Za dwa, może za trzy...

— Za dwa, mamusiu, czy za trzy?

— Może i za dwa...

— A napewno za dwa?

— Napewno, syneczku, napewno...

— A co będzie wtedy w Polsce?

— Wiosna już będzie — a może jeszcze i zima.

— I śnieg, matusiu, i śnieg?

— Może jeszcze i śnieg...

— A jaki on będzie?

— Taki biały, jak ten tam na górach...

— I miękki, mameczko, i miękki?

— I miękki, synusiu...

— I zimny — i bardzo zimny?

— Śnieg zawsze zimny...

— I ja go będę mógł brać w ręce — będę mógł w rączki brać śnieg?

— Będziesz mógł synku... Będziesz...

— Jak to dobrze, mamusiu — jak to dobrze... i te białe kwiaty będą, co rosną ze śniegu?

— Będą białe kwiaty śniegowe — będą...

— A jakie tam jeszcze kwiatki? czy takie, jak tu?

— W ogrodach takie, jak tu — a na polach to jeszcze inne.

— Mamusiu?

— Co, syneczku?

— Ty mi mówiłaś „wtenczas o iwach - a jakie to iwy, mamusiu? Jakie?

— Takie złote bazie mają, mój synku.

— I pszczoły na nich brzęczą? Ty mi mówiłaś o pszczołach?...

— I pszczoły brzęczą, syneczku.

— I jaskry będą w Polsce — i jaskry?

— I jaskry.

— A jakie? jakie? Takie złote? bardzo złote?

— Tak, złote...

— I dzwonki będą?

— I dzwonki, synku!..

— A jakie dzwonki? Jakie? Niebieskie?

— Tak! Niebieskie, liliowe.

— Jak co, mamusiu? Jak co? Jak brak? Jak niezapominajki?

— Jak irysy, dziecko, jak te irysy sine...

— Ale ładniejsze od irysów? Prawda, mamusiu? Ładniejsze?

— Może nie ładniejsze — ale inne.

— A jakie inne, mameczko? jakie?

— Drobniejsze mają kielichy i więcej ich na łodydze.

— O! To ładniejsze, mamusiu, z pewnością ładniejsze!...

II.

Synusiu, synusiu! Czy masz ty litość nad sobą i nademną? Znów zmęczyłeś się wczoraj — znowu rzucałeś kamieniami do morza! A teraz gorzej ci i musisz leżeć w łóżeczku.

— Ja nie mogę, mameczko — nie mogę... Ja muszę rzucać kamieniami na morze — ja muszę bić morze biczyskiem...

— Dlaczego? Dlaczego?

— Bo ja nie cierpię morza — nienawidzę...

— Dziecko! Dziecko! Dlaczego? Tyle dzieci chodzi po morzu, pluszcze się w niem — zanurza, kocha je — dlaczego i tybyś go nie miał polubić?

Siatka żyłek niebieskich wystąpiła na białe delikatne czoło chłopca — a czarne, ogromne źrenice rozszerza jeszcze więcej dziwnie zawzięty błysk.

— Bo doktór wciąż i wciąż każe nam tu siedzieć nad tem morzem, w tej Mentonie — a tu — ani dzieci nie mówią po polsku — ani nikt, nikt, tylko ty i ja — i ta pani w czarnym welonie.

— Synku drogi! Synku mój złoty!...

— A ty mi wtenczas mówiłaś, że u nas wszystkie dzieci rozmawiają z sobą po polsku i że ja będę mógł mówić z niemi, jak będziemy w Polsce.

— Wprzód musisz być zdrów, dziecino, a żeby być zdrowym, nie powinieneś męczyć się — nie powinieneś rzucać ciężkimi kamieniami...

— A jak nie będę rzucał, to pojedziemy?

— Pojedziemy, dziecino, pojedziemy...

— A kiedy? Za tydzień?...

— Za miesiąc... może za półtora...

— A ty mówiłaś wtenczas, że za dwa miesiące — a to już teraz za tydzień.

— Tak, mówiłam — ale teraz pogorszyło ci się trochę — i doktor nie pozwala nam wracać, aż będzie całkiem ciepło u nas...

— Mamusiu!...

— Co, synku?



Zgłodniała rzesza.

— To za miesiąc wrócimy, czy za półtora?

— Może już i za miesiąc...

— Napewno za miesiąc?

— Napewno, synusiu, napewno...

— A jak będzie wtenczas w Polsce? Jak?

— Powinno już ciepło być, tak, jak u nas jest dzisiaj.

— A kwiaty jakie będą? jakie kwiaty?

— Bez, synu, taki sam liliowy bez pachnący, jak tutejszy... I jaśmin biały i grusze i śliwy i wiśnie i jabłonie różowe, jak te oto przed naszemi oknami.

— A ty mi „wtenczas“ mówiłaś o chabrach...

— I chabry będą i chabry...

— A dużo będzie chabrów?

— O dużo... bardzo dużo..

— Więcej, niż tutaj w ogrodzie?

— Więcej! Daleko więcej!...

— I w zbożu będą? W zbożu?

— Tak! W zbożu...

— A zboże będzie szumiało?

— Będzie... Będzie...

— Jak? Czy tak, jak... tu szumi?

— Nie, nie! Inaczej szumieć będzie — łagodniej — ciszej..

— To dobrze, mamusiu — to bardzo dobrze!

— Mamusieńko!

— Co, dziecinko?

— A kąkol? Kąkol też będzie?

— Będzie, życie ty moje — będzie!

— A jaki? różowy?

— Różowy... różowy...

— Taki, jak co? jak róże?

— Taki, jak róże...

— O! On ładniejszy będzie, z pewnością ładniejszy — prawda, mamusiu, że ładniejszy, niż róże...

— — — — — — — — — — —

A młodej matce fala łez napływa nagle na oczy niebieskie — łkanie wzbiera jej w piersi, jak morze orkanem kłębione. A im więcej skurcz dławi jej słowa, tem silniej ciśnie synka do piersi.

Z całych sił go tuli, z całej duszy, jakby własnem, bujnem życiem osłonić go chciała przed jakiemś strasznem widmem, czającem się gdzieś w pobliżu, jak gdyby w wątłą pierś jego chorą pragnęła przelać swe zdrowie, by, choćby kosztem własnego tchu, własnego życia, ożywić resztę sił, tlących w umiłowanej nad wszystko dziecinie...

— — — — — — — — — — —

III.

— Mameczko?!

— Co, synku?

— Czy nasza Polska jest wielka?

— Wielka, synu — wielka...

— A jak? Jak wielka?

— Od gór Tatrzańskich...

— Aha! Od tych, coś pokazywała mi „wtenczas“ na mapie...

— Tak! Od tych gór... aż... do...

— Aż dokąd, mamusiu? Aż dokąd?

— Od Tatr... do... d... Bałtyckiego... morza...

— — — — — — — — — — —

A chłopczyna aż się cienkiemi rączkami na pościeli uniósł — a ciemne, ogromne jego oczy rozszerzają się najwyższem zdziwieniem:

— W Polsce jest morze?

— Jest, synku, jest...

— To jedźmy do niego, mamusiu, zaraz, zaraz jedźmy!

— Teraz jeszcze nie można, dziecinko, bo tam nie tak ciepło, jak tu, tam teraz wichry, zimno...

— A kiedy pojedziemy? Kiedy?

— Jak będziesz zdrów, kochanie, jak będziesz zdrów!...

— O ja teraz prędko wyzdrowieję, bo nie będę już rzucał kamieniami na morze i nie będę bił morza biczykiem, bo ja kocham morze, ja bardzo morze kocham!...

— — — — — — — — —

IV.

— Otwórz okno, mamusiu! Tamto jeszcze! Tamto od morza...

Wpłynęła do pokoju fala dusznego, wilgotnego powietrza, przesyconego solą — po izbie rozchodzi się — łóżeczko chłopczyka owiewa.

Może to ona drobnemi kropelkami potu perli się na wyschłych rączynach dziecka, odcinających się żółtawą bladością od niebieskiej kołderki — może to ona perli się na wychudłej twarzyczce, świecącej ogromnemi błyszczącemi, jak węgle, czarnemi oczami?

— Mamusieńko... — szepcą spieczone gorączką usteczka — mamusieńko...

— Co, życie moje? Co?

— Jedźmy już — teraz jedźmy — dzisiaj... teraz!...

— Za parę dni, kochanie, za parę dni, aż trochę się wzmocnisz — aż przejdzie gorączka...

— A za ile dni?

— Za dwa, może za trzy...

— A za ile, za dwa, czy za trzy?

— Za dwa, kochanie, za dwa...

— Z pewnością?

— Z pewnością...

— A co „tam“ będzie za dwa dni?



Taniec „Guerrero“.

— Będzie już zborze dojrzewało i skowronki będą śpiewały — i łąki będą kosili — i będzie pachniało kwiatami i sianem.

— A jakie kwiatki będą na łąkach? Jakie?

— Kaczeńce żółte i różowe, firletki i dzwonki i żabie ziele liliowe i inne zioła.

— Matka Boska będzie chodziła po ziołach?

— Matka Boska w niebie syneczku...

— A ty mi mówiłaś, że ona w Polsce chodzi po ziołach? — — — — — — — — —

— Nie mów już, nie mów, życie ty moje, bo tak się zmęczyłeś — — — — — — —

V.

Przez okna rozwarte napływa z ogrodu duszący oddech myrtów, laurów, rozmarynów — leje się ciężka, słodka woń liliowych akacyi, heliotropów, złotych mimoz, różowych magnolii.

Zmięszane z dusznym, słonym oparem morza — cicho, sennie, w skwarze południa, opływają chmury tych woni łóżeczko chłopczyny — kroplami potu perlą mu się na rączkach przezroczystych, opuszczonych bezwładnie po niebieskiej kołderce, na bladem czołku, na skroniach pożółkłych, na nosku cienkim, na twarzyczce wpadniętej, płonącej purpurowymi wypiekami.

A z twarzyczki tej, zaróżowionej ostatnim odblaskiem życia, niby płatek białej lilii, opadający w przedzachodnim błysku słonecznym — z twarzyczki tej do niebieskich oczu matki uśmiechają się ogromne, ciemne, prześliczne oczy, rozrzerzone gorączką, oderwane już od rzeczywistego świata, wpatrzone jakby w wizyę jakąś doziemską..

— Mamusiu... — szepcą bielejące już liliami usteczka — mamusiu... — oczom matki wskazują aleję cyprysów na pół już zagasłe źrenice dzieciny — mamusieńko złota! Ona! Ona! Matka Boska z Polski idzie po ziołach, tak, jak ty mówiłaś! — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Cyprysami alei chwiał lekki powiew północno-wschodni, co niewiadomo którędy przekradł się tutaj przez góry..

„Słowo Polzkie“. *Jan Andruszewski.*

* *

Symbole klejnotów.

Moda sprowadza nowy zwyczaj ofiarowywania w dniu imienin, zaręczyn i w innych dniach okolicznościowych klejnotu, ozdobionego kamieniem symbolizującym miesiąc urodzenia. Zwyczaj nadawania takiego znaczenia drogim kamieniom w Anglii jest bardzo dawnym, a powstał z tego powodu, że niektórym kamieniom przypisują siłę magiczną która w odpowiednich miesiącach moc swą odczuje.

Każdy kamień — posiada swój miesiąc, a urodzeni w którymkolwiek miesiącu, mają kamień, którego noszenie — jak powiada podanie, tajemniczy wpływ na właściciela wywiera. Bardzo starzy ludzie przypisują kamieniom moc utrzymywania w zdrowiu i sile. Również wróżą o charakterze i o szczęściu człowieka, urodzonego w tym lub owym miesiącu.

I tak: granat jest kamieniem miesiąca stycznia; przypisują mu własność, że urodzony lub urodzona w tym miesiący, a noszący w pierścionku ten kamień, otoczonym będzie zawsze miłością i przyjaźnią i godnym się tego zawsze okazywać nie zaniedba. Dziewczęta posiadające ten kamień, obdarzone mają być powabem i umiejętnością przywiązania na zawsze do siebie ukochanego są zawsze wesołe i miłe. Obecnie modą się stały pierścionki zaręczynowe ozdobione granatami.

Ametyst jest kamieniem szęścia w lutym urodzonych; wyróżnia się tem, że usposobienie noszącego go czyni łagodnym i bardzo miłym w obejściu z ludźmi i zdolnym do opanowania wybuchów gwałtowności. W przeciwieństwie do niego stoi krwawnik; angielski zwyczaj każe obdarzać nim urodzonych w marcu, ale, że ma jakoby właściwość wpajania gorącego, namiętnego i odważnego charakteru właścicielowi, toż noszenie połączonem jest z niejakiem niebezpieczeństwem. Podobno w miesiącu marcu urodzeni, bywają czasami trochę nieznośni. Gdybyśmy chcieli oceniać ludzi podług wartości kamieni, które im nosić przeznaczono, najlepiejby na tem wyszli „kwietniowcy“. Ich kamieniem jest brylant. Chociaż jednak króluje między kamieniami, podanie nie przyznaje mu siły zdobywania bogactw tego świata; jego „nosiciele“ muszą zadowolnić się życiem, które chociaż nie wyłącza zupełnie dobrobytu, w pierwszej linii jednak obiecuje szczęście w miłości i przyjaźni; — wartość to bez zaprzeczenia cenniejsza, a przez wielu więcej pożądana niż zimne pieniądze i bogactwa.

Kamieniem miesiąca maja jest szmaragd, jeden z najpiękniejszych kamieni, jakie ziemia wydaje. Szczęśliwy też kto go nosi; gdyż jego właściciel zapewnionym jest przed oszukaństwem i kłamstwem, bo kamień ten osadzony w pierściunku, traci natychmiast swój blask, jeśli go kto dotknie z fałszem w sercu..

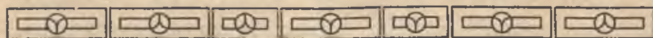
Agat — na czerwiec — obiecuje szczęście, zdrowie i długie życie, rubin, lipcowy kamień, podobnym jest do swego brata majowego; nieżyczliwości i podstęp ustępuję przed jego siłą, a właściciel jego opancerzonym jest nawet przeciwko podszeptom szatańskim... Podobną magiczną siłę posiada również szafir, kamień wrześniowy, gdyż odpędza choroby, a często nawet śmierć samą zwalcza.

Szafir gra w podaniach i lekach naturalnych wielką rolę, gdyż przypisują mu jeszcze wiele

innych właściwości. Kobiety z pewnością chętnie by zrezygnowały z posiadania tych świetnych kamieni, gdyby tylko pewnemi być mogły skutków jakie ma wywierać „sordonx“ (onyx), a urodzone w miesiącu sierpniu, nosiłoby swój z radością, gdyż najpewniej jego właścicielka, szczęśliwą będzie w małżeństwie i nigdy miłości męża swego nie utraci...

Październik i listopad — reprezentują opał i topaz. Nadzieja! oto emblemat pierwszego; topaz zaś przypomina właściwości granatu, przynosi przyjaźń i miłość. Turkus — kamień grudniowy kończy ten szereg zapewnieniami błogosławieństwa i bogactwa; — prawdziwy to gwiazdkowy kamyk!

Wielu „modnych“ może ten stary zwyczaj wchodzący znowu w swoje prawa, nazwać przesądem; czy jest nim lub nie, jest w nim jednak trochę miłej poezyi, dla niej więc można przebaczyć — przesąd. Czy można swej ukochanej lub narzeczonej większy dowód uczucia złożyć, jak ofiarując jej pierścionck, z kamieniem, zawierającym cudowne mocy i tajemnicze dobre wpływy, pod któremi obudzić się mogą znieczulone przymioty?.. Czy nie wskrzesza ten zwyczaj dawno zaginionej „romantyki“ owego wieku średniego, tajemniczego, którego współcześni umieli wszystko upiększać poezyą, czego my — owiani duchem dwudziestego wieku, zupełnie jużeśmy się wyzbyli? Nie jestem wcale przyjaciółką strasznych i niepodobnych do prawdy opowiadań o duchach i upiorach, w jakie wiek średniowieczny obfitował, ch.tnie żyję w swoim czasie; cieszyłabym się jednak, gdyby obudzenie pięknych zwyczajów i — poezyi znalazło ogólne uznanie; niechaj podnietą te słowa się staną. I niechaj moim czytelnikom, w prozie codziennego życia przydadzą się tak miłe zawsze dla serca, — chociaż urywki — poezyi.



Wiadomość z tamtego świata.

Jak wiadomo, zmarły filozof, profesor William James, obiecał przed śmiercią swym najlepszym przyjaciołom, iż będzie się starał wszelkiemi siłami skomunikować się z nimi z po za grobu.

W tym celu James rozesłał swoim przyjaciołom listy zapieczętowane. Przyjaciele za pomocą medyów mają się starać o skomunikowanie się z duchem James'a i zażądać od niego, żeby opowiedział treść tych listów.

Jeżeli tekst, zakomunikowany przez medyum, będzie się zgadzał z tekstem w listach, które mają być otwarte dopiero po doświadczeniu spirytystycznem, to ma to stanowić dowód, iż stosunki pomiędzy zmarłymi i żyjącymi są możliwe.

Otóż obecnie do pism amerykańskich nadchodzą ze wszystkich stron Stanów Zjednoczonych wiadomości o rzekomem skomunikowaniu się ze zmarłym filozofem. Pomiędzy innymi jeden z przyjaciół filozofa, niejaki p. Ayer, poważny przemysłowiec z Bostonu, prezes „Tabernakulum spirytystycznego“, twierdzi stanowczo, iż przed kilku dniami, na seansie spirytystycznym, zobaczył cień zmarłego Jamesa, który wymówił kilka zrozumiałych zdań.

Medyum, które było obecne na tym seansie, jest stałym bywalcem „Tabernakulum“ i zdaniem p. Ayera jest zupełnie pewne i stoi po nad wszelkiemi podejrzeniami. Jest to kobieta w sile wieku, zdrowa i inteligentna, która poświęciła swoje życie rozwijaniu swych zdolności spirytystycznych.

Według świadectwa p. Ayera, duch Williama Jamesa powiedział co następuje:

„Jestem obecnie w zgodzie z sobą samym i z całą ludzkością. Obudziłem się w życiu, które przewyższa wszystko to, co przypuszczałem w czasie mego życia ziemskiego. Powiedz przyjaciołom, że za pomocą obecnego tu medyum prześlę im wieści, które dowiodą mej identyczności o wiele lepiej, niż to mogę zrobić obecnie. Skomunikowanie się ze śmiertelnymi jest o wiele trudniejsze niż przypuszczałem. Muszę się jeszcze dużo uczyć i przezwyciężyć wiele trudności“.

P. Ayer twierdzi, iż ma zupełne zaufanie do tego, co widział i słyszał. „Jak wszyscy ci, którzy umarli — oświadczył p. Ayer — William James, obudziwszy się w życiu nowem, czuł się zapewne nieco zaniepokojony i nie odzyskał jeszcze na tyle równowagi, żeby poinformować nas o tajemnicach z po za grobu, ale to nastąpi niebawem“.

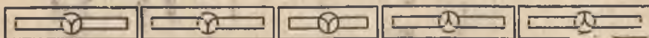


Nasze ilustracye.

Do jakiego stopnia posunięta jest nędza w głębi Rosyi wskazuje nasz obrazek — **Sprzedaż dzieci w głębi Rosyi** Widzimy tu, jak Moskale i Rusini targują się o biedne, maleńkie sieroty, które matki sprzedają, by nie umrzeć z głodu. Okropny, barbarzyński to zwyczaj, a dla nas zupełnie niezrozumiały, bo u nas wolałyby

matki śmierć ponieść, niż dzieci swych się pozbywać i patrzeć, jak biedactwa uprowadzane przez kupca rączyny rozpaczliwie do matuli wyciągają.

Zgłodniała rzesza. — Zima sroga, śnieg pokrył pola, a biedne ptaszyny błąkają się głodne i zmarznięte szukając pożywienia. Ale znalazła się piękna i dobra dziewczyna, która tułaczom sypie ziarna, patrząc na nie tkliwie i rozgrzewa je ciepłem spojrzeniem i przymilnem słowem. Taniec „Guerrero". Piękna i namiętna Hiszpanka wlewa duszę swą całą w ten taniec pełen gracyi i ognia. Z ruchów jej tryska życie, a w oczach goreją blaski zwodnicze.



Łamigłówki do nagrody.

I. **Szarada.**

(Nadesłała czytelniczka Aleksandra Korotkiewiczowa z Kulikowa).

Pierwsza, trzecia — zwierzęta domowe,
Gdy nie wielkie, zwiemy pokojowe;
Druga, pierwsza — to nieme stworzenia,
Chętnie łowisz, gdyż są do jedzenia.
Całość: szlachcic, który z końcem życia
Plótł w Warszawie, lecz nic nie wyplatał,
(Zmusiły go do tego tortury i bicia).
A że plótł dobrze, ten fakt wam to powie,
Że te „plecionki" weszły aż w przysłowie.

II. **Szarada.**

(Ułożyła *„Ciocia Femcia")*.

Pierwsza z czwartą zwykle sroga,
Ale zawsze w ręku Boga.
Trzecia czwarta pusta, cicha,
W niej upływa życie mnicha.
Druga czwarta miara drogi,
Wędrowcowi znuży nogi.
Pierwsza druga, jak i *czwarta*
Tylko w śpiewie jest coś warta.
Całość imię pięknie brzmiące,
Stare noszą je... służące,
Stare panny przy pasyansie,
Jak nie w życiu, to w romansie.

Rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 8. grudnia r. b. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 51.

Rozwiązanie

łamigłówki zamieszczonej w nr. 47.:

Moda.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Felicya Brachlówna, Emilia Franz, Marya Haass, Aleksandra Korotkiewiczowa, Romuald Kulczycki, Wacław Nowosielecki, Wilhelm Rückemann, Celestyn Schöffer, Feliks Ślusarczyk, Józefa Steindl, Anna Wełnianka.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Jadwiga Adamczewska, Kazimiera Bosiacka, Franciszek Chytry, Marynia Dąbrowska, Franciszka Gromadecka, Halinka Jordanówna, Kierska, Stefcia Kiser, Halina Konopińska, Zygmunt Kliszczyński, Konstancya Kolańczyk, Marya Nehring, Ludwik Piasek, Cecylia Sikorska, Tadeusz Węclewicz, Stanisław Wrzyszczyński, Władysław Wystański.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Hieronim Jaworowski z Drezna, Edmund Sokołowski z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium.

Nagrodę otrzymają:

pp. Kierska z Gniezna, Marysia Dąbrowska z Jarocina, Władysław Wystański z Bydgoszczy (ul. Schleinitza 22), Józefa Steindl z Przeworska (Galicya).

Z opóźnieniem otrzymaliśmy jeszcze rozwiązauie łamigłówki z nr. 46-go od następujących czytelników:

pp. Stanisław Szostak, Świerkosz, Józef Głuszak, „Sokół" w Myślenicach, J. Inglot, I. Kwiecińska, Romuald Kulczycki, Felicya Brachlówna.

Reklamy.



DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ.

NR 49

(Ciąg dalszy).

— Czy ta kobieta jest z lodu, czy z gutaperki? — pomyślał z głuchą złością i chęcią, by jej dokuczyć, wyprowadzić z tego spokoju.

— Słyszałem, że z zakładu protegowanych Ramszycowej, uciekło siedem panienek — rzekł. — Będą panie miały nielada kłopot z odnalezieniem tych zbłąkanych owieczek.

— Wcale sobie tego kłopotu nie zadamy. Gwałtem się nie rekrutuje i gwałtem się nie zatrzymuje.

— Więc to jest zakład istotnie filantropijny. Biedaczki tam restaurują siły i mają utrzymanie w razie stagnacyi w interesie.

— Chociażby! — odparła spokojnie. — Chore psy i konie mają też przytułek. Zresztą co do ucieczki owych siedmiu, musiał to pan słyszeć od Wolskich, bo to nieprawda. Kto się z piekła chciał wydostać i wydostał, ten nie wraca.

— Wolskie dziś pewnie będą z narzeczonym! — mruknął prezes.

— Niech-no on mnie spyta o posag, odpłacę im za wszystko! — rzekł zajadle Andrzej.

— Czyś oszalał! — zaśmiał się Radlicz — gotów zerwać, a wtedy nie osy będą, ale szerszenie. Ten człowiek wart pomnika obok Zygmunta. Urwie jeden łeb hydrze!

— Żeby tak jeszcze kto tobie łeb urwał! — zaśmiał się prezes.

— To jednak dziwno! — ozwała się Kazia. — Nie ma dwóch zdań o Wolskich. Każdy je ma za plotkarki i oburza się, ale każdy słucha ich plotek, powtarza i każdy ich się boi, i każdy ich przyjmuje.

— Ciekawym, co innego zrobić, kiedy ich nie można powywieszać! — odparł Andrzej.

— Zgotować duży kocioł wrzątku, nająć nad niemi mieszkanie i zalać! — zdecydował z całą powagą Radlicz. — Ręczę, że na taki wypadek niema paragrafu w karnym kodeksie.

— Ale niema też paragrafu na plotki i fałszywe nowinki.

— Nie, to jest kunszt. Szekspir powiada: „farbiarska sztuka niczem jest wobec sztuki czernienia cnoty“ — dodała Kazia poważnie.

Obiad się skończył, przeszli do salonu na kawę.

— Dużo osób się spodziewasz? — spytał prezes.

— Około trzydziestu.

— Wyobrażam sobie, coby to był gdzieindziej za rejwach. A ty, ani dbasz, ani się kłopoczesz.

— Ale za to kłopocze się za mnie ciocia Dąbrowska. Co tydzień w przeddzień wpada i biada godzinę: jak ty dasz rady! A ja właśnie daję radę, bo mi nikt w zarządzie nie pomaga, ani się wtrąca. Was dwóch, to jakby jeszcze dwóch gości, ani mnie mustrujecie przedtem, ani krytykujecie potem.

— No, ja Bogu dziękuję, że sam nic nie obrywam — rzekł Andrzej z uśmiechem.

— Co prawda, czasem nawet warto! — uśmiechnęła się, i wyszła do jadalni. Radlicz wstał także.

— Zostań! — rzekł Andrzej. — Niech cię Wolskie tu zobaczą i niech się wściekną.

— Albo jeszcze więcej rozplotą — mruknął prezes. — Dałem za dwa tysiące prezentów i co to pomogło.

— Kaziu! — zawołał Andrzej — czy Radlicz ma zostać, czy nie?

— Naturalnie zostanie, jeśli chce — odpowiedziała swobodnie.

— A będę miał z kim flirtować?

— Wśród kilkunastu pań, chyba znaleźć kogo nie trudno.

Radlicz został. O ósmej, sakramentalnie pierwszy dzwonek się odezwał, a w pół godziny potem salon i gabinet były pełne. Nikt nie skrewił. Za wiele mówiono o młodych Sanickich ostatniemi czasy, aby ktokolwiek nie przyszedł osobiście się przekonać, co się stało.

Ale ciekawość nie miała pastwy. Andrzej nie wyglądał na desperata. Przeciwnie, był jak rzadko wesół i uprzejmy, prezes promieniał, — Kazia, w bardzo ładnej eleganckiej toalecie, bawiła gości, uśmiechała się, opowiadała o chorobie macochy, wypytywała o brukowe nowinki.

Ostatnia, jak zwykle, przyszła Dąbska. Spytała, z przyzwyczajenia: „niema tu Julka?“ i nie czekając odpowiedzi, wpadła do salonu, zaczęła witać na prawo i na lewo, i dożeglowawszy wreszcie do wolnego fotelu, zawołała:

— Wiecie pewnie od Kazi ostatnią nowinę?

— Odemnie?

— No, przecie to się stało nad tobą, na drugiem piętrze — Downarowie się rozeszli.

— Et, brednie. Zaraz tu będą oboje.

— Nie będą! Ona jest u Orzelskich. To fakt!

— To było do przewidzenia! — zdecydowała ajemniczo mama Wolska.

— Żeby kobiety miały charakter, każda powinna to uczynić! — zawołała profesorowa Kęcka, sławna z tego, że mężowi zostawiła władzę i głos tylko na wykładach.

— Ach, jakby to dobrze było! — westchnął Radlicz.

— A pan co o tem może decydować — oburzyła się Dąbska.

— Jakto? Mogę! Czy jest istota bardziej zawadzająca, jak mąż.

Dzwonek. Po chwili do salonu wszedł Downar.

— Aha! sam! — szepnęła Tunia tryumfująco.

— Idealnie, tylko ja Downarową ustąpię innemu! — dodał szyderczo Radlicz.

Wszystkie panie utkwiły wzrok w nowoprzybyłym, a on się witał powoli, zatrzymywany wciąż.

— A gdzież pani? — spytała Tunia nareszcie.

— Trochę niezdrowa! — odparł obojętnie, i poszedł dalej.

— Jak ten niedźwiedź umie jednakże blagować.

— I pomyśleć, że w jego wieku i na jego stanowisku jeszcze sobie pozwala! — dorzuciła Wolska.

— Co chcieć! Wiadomy ateusz! — westchnęła stara Markhamowa.

Towarzystwo było w komplecie. Starsze panie skupiły się około kanapy, panowie młodsi bawili młode mężatki i panny, w gabinecie prezesa już wint kwitł. Kazia przesuwała się od grupy do grupy, a ciocia Dąbrowska, patrząc na nią tak swobodną, drżała z niepokoju o kolacyę.

Rozmowy były rozbite, swoboda zupełna, gwar rósł, mięszał się z dźwiękami fortepianu, wybuchał niekiedy kaskadą śmiechów, sprzeczką graczów, przy wintowych stolikach.

W jednym kącie zebrała się gromadka mężczyzn nie winciarzy. Był tam Szpanowski, Feliks Sanicki, Downar, profesor Kęcki; ci debatowali nad społecznemi kwestyami, reszta towarzystwa bawiła się kosztem bliźnich, lub flirtem.

Kazia, której obowiązki gospodyni nie pozwalały zająć się czemś, lub kimś wyłącznie, spoglądała tylko czasami ku ojcu, i uśmiechała się doń zdaleka, a on był pełen zadowolenia i szczęścia, że ją widzi wesołą, panią tych zbytków i przepychu, kochaną i szanowaną.

Ani przeczuwał poczciwiec, ile pod tym blaskiem i świetnością było goryczy, ile w jej pogodzie i spokoju było przymusu i męki.

t

Radlicz flirtował zawzięcie, i obserwował Andrzeja, który był w świetnym humorze, bawił panie, śmiał się i dowcipkował i wodził oczami za żoną.

I Kazia spotkała go też w jadalni, gdzie wyszła na chwilę z jakiemś poleceniem do służby.

— Służę dziś, jak pocztowy koń! — rzekł z uśmiechem, szukając syfonu na bufecie. — Rana mnie piecze, pić mi się chce, głowa boli, ludzie mnie zanudzają — i pytam, po co to wszystko?

— Dla bóstwa, które się światem nazywa — odparła, podając mu szklankę i syfon.

— No nie, dla świata bym się tyle nie fatygował. Chciałem dziś pani dogodzić.

— I dogodził pan. Dziękuję. Ojciec taki szczęśliwy.

— Zawsze ojciec, tylko ojciec. A pani?

— Ja, dziękuję!

— Nie wiele pani zużywa zapału na wdzięczność.

Odwróciła oczy, zmięszana.

— Nie mogę, nie umiem inaczej! — szepnęła.

— Względem mnie szczególnie — żachnął się.

— Kaziu, — rozległ się za nimi głos Dąbskiej. — Zaproponuj śpiew Jadzi Wolskiej. Mama Wolska aż kipi, żeby się dziewczę zaprodukowało. Co, to ty tu z mężem flirtujesz? Winszuję.

— A pani ją posądzała o kogo?

— No, chociażby o Bukowieckiego! Ale, panie Andrzeju, czy ten rejent Iwicki przyrósł do winta?

— Przeflancować go do panny Zofii? Zaraz.

— Przepraszam, że wam przeszkodziłam.

Kazia wyszła do salonu, więc Dąbska dodała:

— Zaczynam mieć nadzieję, że będzie jeszcze z pana porządny człowiek. Nawraca się pan, to dobrze. Ma pan szczęście, że pan na taką kobietę natrafił, inna dawnoby pana porzuciła.

— Tak, inna, któraby umiała kochać lub nienawidzieć, któraby miała krew i nerwy. Ale ta! — Ruszył ramionami.

— Nie kocha pana, nie szaleje! Dziwna rzecz, tyle pan uczynił, by ją zjednać i zdobyć — zaśmiała się ironicznie.

Z salonu rozległ się śpiew. Jadzia Wolska męczyła „Astrę“ Rubinsteina. Dąbska zatkała uszy.

— Rany Boskie! Czemu to dziewczę nie haftuje, nie maluje, nie robi koronek! — syknęła rozpacznie.

— Dla Bukowieckiego i to dobre! — zaśmiał się.

— Kazia ślicznie to śpiewa — słyszał pan?

— Kazia śpiewa? Nie wiem nawet, — zdziwił się.

Wyszli do towarzystwa, przyłączyli się do oklasków i do próśb o „jeszcze cośkolwiek“.

— Doprawdy nie mogę! Nie jestem przy głosie. Fatalna akustyka w tym salonie! — broniło się dość miękko „dziewczę“.

— Oj, co tam! Dobrze i tak! Niech pani rżnie! — zdecydował Bukowiecki. — Toć kupę nut pani przyniosła.

— Nie mogę sama akompaniować!

— To ja służę! — ofiarowała się Kazia.

— I ja bym mógł! — mruknął Radlicz złośliwie.

Przyniesiono nuty. Za grzechy żywota pokutował z kolei Moniuszko: odśpiewało dziewczę „Pieśń wieczorną“.

— I ciekawość, po co to się drze! — rzekł Downar do Szpanowskiego. — A córka pana, jak skowronek śpiewa, i musi temu akompaniować.

Po kątach drwiono i krytykowano, ale przy fortepianie rozlegały się pochwały i podziękowania, czem podniecona artystka wykonała jeszcze jakąś włoską barkarolę, i oznajmiła, że jest wyczerpana, i że za wiele dymu jest w pokoju, co fatalnie na głos wpływa.

Kazia wstała od fortepianu, gwar powstał, i nikt, oprócz niej, nie słyszał mruczenia Radlicza:

— Jeśli dym na ten głos szkodzi, powiesić ją co rychlej w wędzarni. I jak pani może tym fałszom wtórować! To kunszt dopiero!

— Fałsze słyszę od rana do nocy. Można do tego tu nawyknąć.

Lokaje oznajmili kolacyę, powstał ruch ogólny, zamięszanie chwilowe, szukanie dam do par i przejście do jadalni. Ciocia Dąbrowska ożyła.

Stół był zastawiony elegancko, pełno kwiatów na nim, kryształów, mnóstwo apetycznych zakąsek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Maurycy nie widział kumoszek, nie słyszał ich komentarzy; widział tylko Genowefę czyniącą przygotowania do podróży, która nakoniec zapewnić im miała trwałe szczęście; słyszał tylko Genowefę z roztargnieniem nucącą ulubioną swą piosnkę, a ta piosnka tak mu mile w uchu brzęczała, iż byłby przysiągł, że słyszy różne tony jej głosu przeplatane łoskotem zamykanego zamka.

W przedpokoju Maurycy zatrzymał się, drzwi były otwarte; ta okoliczność mocno go zdziwiła, gdyż zwykle kazał je zamykać. Spojrzał wokoło, sądząc, że spostrzeże Genowefę na korytarzu, ale jej tam nie było.

Przeszedł więc przedpokój, pokój jadalny, salon, sypialnię. Wszystko było puste. Wołał, nikt mu nie odpowiadał.

Jak wiadomo, oficyalista wyszedł; Maurycy mniemał, że Genowefa w czasie jego nieobecności zapotrzebowała sznura do związunia tłomoków, lub też jakiego zapasu na drogę, że więc zeszła nadół, aby kupić te przedmioty. Postępek ten wydał mu się zbyt nagannym, ale jakkolwiek już mocno niespokojny niczego się jednak nie domyślał. Czekał więc przechadzając się wzdłuż i wszerz i kiedy niekiedy wyglądając przez okno, przez które wciskało się ciężkie deszczowe powietrze. Wkrótce zdało mu się, że ktoś idzie po schodach, słuchał, ale nie był to chód Genowefy; mimo to jednak wybiegł na schody, wychylił się przez poręcz i poznał swego oficyalistę, który z właściwą służącym obojętnością szedł na górę.

— Scewola! — zawołał.

Oficyalista podniósł głowę.

— Ah! to ty, obywatelu!

— Tak, to ja; ale gdzież jest obywatelka?

— Obywatelka? — powtórzył zdziwiony Scewola, ciągle idąc wyżej.

— A tak. Czyś jej nie widział na dole?

— Nie.

— No to wróć do odźwiernego i spytaj o nią sąsiadów.

— Natychmiast.

Scewola wrócił na dół.

— Prędzej! prędzej! — wołał Maurycy — nie widzisz, że stoję jak na rozżarzonych węglach?

Maurycy czekał kilka minut na schodach, ale nie widząc aby Scewola wracał, wszedł do pokoju i znowu zaczął wyglądać przez okno. Spostrzegł, że Scewola wchodził do kilku sklepów i nigdzie nic się nie dowiedział. Zniecierpliwiony zawołał na niego.

Oficyalista podniósł głowę i spostrzegł w oknie niecierpliwego pana.

Maurycy dał mu znak, aby przyszedł na górę i rzekł sam do siebie.

— Nie, to niepodobna, ona wyjść stąd nie mogła.

I znowu zawołał:

— Genowefo! Genowefo!

Wszystko zamarło. Samotny pokój echa nawet odbijać nie chciał. Wtem wszedł Scewola.

— I cóż? — spytał Maurycy.

— Sam tylko odźwierny widział ją.

— Co! widział ją?

— Tak jest, ale sąsiedzi nic o niej nie słyszeli.

— Mówisz, że odźwierny widział ją? Jakże to było?

— Widział jak wychodziła.

— A więc wyszła!

— Tak się zdaje.

— Sama? Nie to niepodobna, Genowefa nigdy nie wyszła sama.

— Nie sama, obywatelu, ale z jakimś mężczyzną.

— Jakto! z mężczyzną.

— Tak przynajmniej utrzymuje obywatel odźwierny.

— Pójdź, poproś go tu, muszę wiedzieć koniecznie kto był ten mężczyzna.

Scewola zmierzył ku drzwiom, ale zatrzymał się i rzekł:

— Pozwól no obywatelu.

— Co? co? mów, nie zabijaj mię.

— Może to był ten sam człowiek, który biegł za mną.

— Człowiek który biegł za tobą?

— Tak jest!

— A to poco?

— Żądał w twojem imieniu, obywatelu, abym mu dał klucz.

— Jaki klucz? niegodziwcze! mów że mów!

— Klucz od mieszkania.

— I ty nieznajomemu dałeś klucz do mojego mieszkania? — zawołał Maurycy chwytając oburącz oficyalistę za kołnierz.

— A kiedy to nie był nieznajomy, lecz twój przyjaciel obywatelu.

— Ah! tak, prawda, mój przyjaciel, to zapewne Lorin; no nic nie szkodzi, że wyszła z Lorinem. — I wybladły Maurycy uśmiechnął się i otarł spocone czoło.

— Nie, nie, jeszcze raz nie! to nie on, obywatelu — zawołał Scewola — do licha! przecież ja bardzo dobrze znam obywatela Lorina.

— No, to któż to był przecie?

— Ej, wiesz bardzo dobrze obywatelu, to ten przystojny mężczyzna, który tu raz przychodził.

— Kiedy?

— Wówczas, kiedy obywatel byłeś tak smutny, kiedy to zabrał cię z sobą i kiedyś od niego wrócił tak wesoły.

Scewola na wszystko to bardzo dobrze uważał.

Maurycy powiódł błędnym wzrokiem i zadrżał na wszystkich członkach, wreszcie po długiem milczeniu zawołał:

— Dixmer?!

— Na honor, obywatelu, zdaje mi się, że on sam — powiedział oficyalista.

Maurycy zachwiał się i padł na krzesło.

— O! Boże mój! Boże! — szepnął zamykając oczy. Ale otworzywszy je wkrótce, spojrzał na bukiet fiołków, które Genowefa zapomniała a raczej zostawiła. Skoczył ku niemu, wziął do ręki, ucałował, a zważając na miejsce w którem go znalazł rzekł: — Nie masz wątpliwości, te fiołki, to jej ostatnie pożegnanie! — Potem Maurycy odwrócił się i wtedy dopiero dostrzegł, że tłomok do połowy tylko był upakowany, a reszta bielizny leżała na ziemi lub w otwartej szafie.

Bielizna rozrzucona po ziemi, zapewne wypadła z rąk Genowefy w chwili, gdy się Dixmer pojawił.

Teraz wszystko się wyjaśniło. W oczach Maurycego, gdy się ujrzał sam pomiędzy czterema ścianami, niegdyś świadkami jego szczęścia, stanęła zaszła tu scena w całej swej żywości i okropności.

Dotąd przytłoczony, skołatany, młodzieniec nasz okropnie się przebudził, a gniew jego nie znał granic.

Wstał, zamknął okno, wziął z biurka parę nabitych pistoletów, które przygotował był do podróży, obejrzał podsypkę na panewce i włożył je do kieszeni. Następnie obładował sakiewkę dwoma rulonami luidorów, które mimo patryotyzmu uznał za rzecz rozsądną schować na dno szkatułki i wziąwszy do ręki pałasz zawołał:

— Scewola, sądzę żeś do mnie przywiązany, bo od piętnastu lat służysz mojemu ojcu i mnie.

— Tak jest, obywatelu — odrzekł oficyalista przerażony marmurową bladością i nerwowem drżeniem, jakie po raz pierwszy dopiero dostrzegł w swym panu, który sprawiedliwie uchodził za najwaleczniejszego i najsilniejszego mężczyznę — tak jest, cóż mi rozkażesz?

— Słuchaj! jeżeli dama, która tu mieszkała... — Zamilkł, głos jego drżał tak mocno gdy to mówił, iż nie mógł dokończyć. — Jeżeli ta dama powróci — dodał po chwili — wpuść ją. zamknij drzwi, weź ten karabin, stań na schodach i zaklinam cię na twą głowę, na twe życie i duszę, nie wpuszczaj nikogo, gdyby chciano wysadzić drzwi, broń ich, bij się! zabijaj! i nie lękaj się niczego, mój Scewola, ja wszystko biorę na siebie.

Głos młodzieńca i to gwałtowne zaufanie zelektryzował Scewolę.

— Nie tylko zabiję każdego — odpowiedział — ale nawet sam jestem gotów umrzeć za obywatelkę Genowefę!

— Dziękuję. A teraz posłuchaj mię: Nienawidzę tego mieszkania i nie wrócę tu aż ją wynajdę. Jeżeli się gdzie wymknęła, jeżeli przyjdzie, postaw na oknie ten wielki japoński wazon z astrami, które tak lubiła. To uczynisz za dnia. W nocy zaś postaw na oknie latarkę. Ta posłuży mi za znak ile razy przechodzić będę przez ulicę, a dopóki nie ujrzę wazonu lub latarki, póty nie ustanę w poszukiwaniach moich.

— O! panie, postępuj pan roztropnie na miłość Boską! — zawołał Scewola.

Maurycy nic nawet nie odpowiedział, ale wybiegł z pokoju, zleciał ze schodów jakby na skrzydłach i pospieszył do Lorina.

Niepodobna opisać zdumienia, gniewu, wściekłości zacnego poety, gdy się dowiedział o zniknieniu Genowefy.

— A więc nie wiesz gdzie się podziała? — powtarzał ciągle.

— Znikła! przepadła! — z rozpaczą wył Maurycy — on ją zabił Lorinie, on ją zabił.

— Eh nie! mój kochany, nie! on jej nie zabił, mój dobry Maurycy, nie, takiej kobiety jak Genowefa nie zabija nikt po tylu dniach namysłu; nie, gdyby ją miał zabić, byłby zabił na miejscu i na znak swej zemsty ciało jej byłby zostawił u ciebie. Nie, on umknął z nią, szczęśliwy, że skarb swój odzyskał.

— O! nie znasz go Lorinie, nie znasz go — powiedział Maurycy — temu człowiekowi bardzo źle z oczu patrzyło.

— Owszem, mylisz się, on mi się zawsze wydawał poczciwym. Zabrał ją dla tego, aby ją poświęcił. On się każe wraz z nią aresztować i zabiją ich oboje razem. Ja przynajmniej to tylko widzę niebezpieczeństwo — rzekł Lorin.

Te słowa podwoiły rozpacz Maurycego.

— O! ja ją znajdę! — zawołał. — Ja ją znajdę lub umrę.

— Niema wątpliwości, że ją znajdziemy! — przerwał Lorin — ale uspokój się, mój Maurycy i wierz mi, że źle szuka, kto szuka bez zastanowienia; a źle się zastanawia, kto jest podobnie tobie wzruszony.

— Bądź zdrów Lorinie, bądź zdrów.

— Co to ma znaczyć.

— Wychodzę.

— Opuszczasz mię! a to dlaczego?

— Ponieważ chodzi tu tylko o mnie samego, ponieważ ja sam tylko powinienem narażać moje życie dla ocalenia życia Genowefy.

— Ty więc chcesz zginąć?

— Gotów jestem na wszystko: pójdę do prezesa komitetu bezpieczeństwa; będę mówił z Herbertem, Dantonem, Robespierem... wyznam mu wszystko, ale ją odzyskać muszę.

— Dobrze — powiedział Lorin. I natychmiast wstał, poprawił pędent, włożył kaszkiet i naśladując Maurycego uzbroił się w parę nabitych pistoletów, które ukrył w kieszeniach. — Chodźmy — dodał.

— Ależ niepotrzebnie kompromitujesz się! — dodał Maurycy.

— I cóż stąd.

Po skończonem widowisku, mój kochany,
Zawsze odprowadza, przyjaciel dobrany.

— I gdzież się najpierw udamy? — spytał Maurycy.

— Szukajmy naprzód w dawnym cyrkule na starej ulicy św. Jakóba, potem wynajdźmy kawalera de Maison Rouge, tam gdzie on jest, musi być także i Dixmer; wreszcie przejdźmy się obok domów na ulicy de la Vieille-Corderie. Wiesz, że mówią znowu o przeprowadzeniu Antoniny do Temple? — wierz mi, tacy ludzie jak oni, aż do ostatniej chwili nie stracą nadziei.

— Tak jest — powtórzył Maurycy — w rzeczy samej masz słuszność... sądzisz więc, że Maison-Rouge jest w Paryżu?

— Dixmer jest tu niezawodnie.

— Prawda, prawda, oni się znowu połączyć musieli — odrzekł Maurycy, lepiej teraz zaczynając pojmować rzeczy. — Chodź!

Od tej chwili dwaj przyjaciele nie ustawali w poszukiwaniach, ale zawsze nadaremnie. Paryż jest bardzo rozległy, a cień jego gęsty. Nigdy żadna otchłań głębiej od niego nie skryje tajemnicy, jaką jej powierzy zbrodnia lub niedola.

Sto razy Lorin i Maurycy przeszli po placu Grève, sto razy patrzyli na domek w którym przebywała Genowefa, gdzie Dixmer pilnował jej bez przerwy, jak niegdyś starożytni księża pilnowali ofiary przeznaczonej na poświęcenie.

Ze swojej strony Genowefa, widząc że zginąć musi, podobnie, jak wszystkie inne wspaniałomyślne dusze, los swój przyjęła z pokorą i postanowiła umrzeć bez szemrania; wreszcie nie tyle dla Dixmera, jak dla sprawy królowej, obawiała się rozgłoszenia, jakiegoby Maurycy w swej zemście pewnie nie zaniedbał.

Dochowywała zatem najgłębszego milczenia, jakby śmierć już jej usta na wieki zawarła.

Maurycy tymczasem nic nie mówiąc, udawał się z prośbami do rozmaitych członków okrutnego komitetu bezpieczeństwa, a Lorin znowu, nie mówiąc nic Maurycemu, również czynił te same kroki.

Jakoż Fouquier-Tinville, tegoż samego dnia nazwiska ich oznaczył czerwonymi krzyżykami, a wyraz podejrzani, objął ich we krwawe swoje uściski.

IV.

Sąd.

Dwudziestego trzeciego dnia, pierwszego miesiąca, II-go roku rzeczypospolitej francuskiej, jednej i niepodzielnej; odpowiadającego 14-mu października 1793 r. według dawnego stylu, jak

wówczas mówiono, ciekawe tłumy od rana zapełniały trybuny sali, w której odbywały się rewolucyjne posiedzenia.

Korytarze, przysionki Conciergerie, zawalone były chciwemi, niecierpliwemi widzami, którzy jedni drugim udzielali zgiełku i namiętności, jak bałwany morskie udzielają sobie ryku i piany.

Mimo ciekawości powodującej każdym widzem, a może nawet z powodu tejże ciekawości, każdy bałwan tego morza, poruszany, ściskany dwoma wałami, zewnętrzym, który go parł i wewnętrznym, który odpierał, w ciągu tego przypływu i odpływu zajmował to samo miejsce, jakie zajął na początku.

Ale też kto stał najdogodniej, uczuł, że powinien innych za to przeprosić; czynił więc to, opowiadając sąsiadowi nie tak dogodnie umieszczonemu, to co widział i słyszał, a tak wiadomości udzielały się całemu zgromadzeniu.

Ale przy drzwiach trybunału, ściśnięta grupa ludzi, mocno sprzeczała się o kilka cali miejsca wszerz, i wzdłuż, bo kilka cali wszerz, dozwalało, aby przez obce ramiona dostrzedz róg sali i oblicza sędziów; a zaś kilka cali wzdłuż, dozwalały widzieć przez obce głowy, oblicze oskarżonego.

Nieszczęściem to wązkie przeście z korytarza do sali, prawie zupełnie zajmował jakiś człowiek o szerokich barkach, który ująwszy się pod boki, odpierał cały ruchomy tłum, gotów rozlać się po sali, gdyby mu tylko nie przeszkadzała ta żyjąca zawada.

Człowiek ten stojący jak mur na progu trybunału, był młody i przystojny, za każdem żywszem popchnięciem, potrząsał swym gęstym włosem niby grzywą, świecił okiem ponurem, odważnem. A potem kiedy tem poruszeniem i spojrzeniem odtrącił tłumy, kiedy niby żywa tama, wstrzymał uporczywe ich ataki, wpadał znowu w swą baczną nieruchomość.

Sto razy ta ściśnięta masa obalić go usiłowała, był bowiem słusznego wzrostu, wszystkim więc za sobą stojącym zasłaniał, ale jak powiedzieliśmy, łatwiej byłoby poruszyć skałę niż jego.

Tymczasem w drugim końcu tego ludzkiego morza, inny człowiek przebijał się przez ścieśnione tłumy z wściekłą prawie wytrwałością; nic nie wstrzymało jego gwałtownego postępu, ani razy tych, których za sobą zostawiał, ani obelgi tych, których dusił przeciskając się, ani narzekania kobiet, bo wiele ich było w tym tłumie.

Na razy, odpowiadał razami, na obelgi, spojrzeniem, przed którem cofali się najodważniejsi, na narzekania obojętnością wyrównywającą pogardzie.

Nakoniec przybył aż do silnego młodzieńca, który, że tak powiemy, zatarasował przystęp do sali.

W pośród powszechnego zadziwienia, każdy bowiem chciał wiedzieć, jak się pogodzą ci dwaj straszni przeciwnicy, ten człowiek, według swojej metody, usiłował rozpierać widzów łokciami, niby jakimi kliszczami, które rozsadzają najściślej spojone ciała.

A jednak był to człowiek młody i małego wzrostu, a blada twarz i wątła budowa, świadczyły, że o tyle jest delikatnym, o ile pałający wzrok jego zawierał niezłomnej woli.

Lecz zaledwie łokieć jego dotknął młodzieńca, który stał przed nim, ten zdziwiony zaczepką, żywo się odwrócił i podnosząc pięść pogroził z gniewem naszemu śmiałkowi.

Wtedy dwaj przeciwnicy spojrzeli sobie oko w oko i zarazem wydali lekki okrzyk.

Poznali się.

— Ah! obywatelu Maurycy — z wyrazem niepojętej boleści rzekł szczupły — przepuść mię i pozwól niech się przypatrzę, błagam cię, a potem zabijesz mię.

Maurycy, bo to był on w istocie, uczuł się przejęty boleścią i uwielbieniem dla tak wiecznego poświęcenia, dla tej niezłomnej woli.

— Pan! — szepnął — pan tutaj, co za nieroztropność!

— Tak, jestem tu! alem już wyczerpany... O! mój Boże! ona mówi, pozwól niech ją obaczę! pozwól niech ją usłyszę!

Maurycy usunął się i przepuścił młodzieńca, a że stał na czele tłumów, nic więc już teraz nie zasłaniało temu, który zniósł tyle razów i potrąceń, dostając się aż do tego miejsca.

Cała ta scena i szmer który wywołała, obudziły ciekawość sędziów.

Oskarżona również spojrzała w tę stronę; wtedy dostrzegła i poznała kawalera, stojącego w pierwszym szeregu.

Coś na kształt drzenia przez chwilę wstrząsnęło królową siedzącą na żelaznem krześle.

Badania kierowane przez prezesa Harmand, komentowane przez Fouquier-Tinvilla, a bronione przez Chaveau-Lagarde adwokata królowej, trwały dopóki na to dozwalały siły sędziów i oskarżonej.

Przez cały ten czas Maurycy stał jak wryty na swojem miejscu, ale widzowie w sali i korytarzach kilka razy już się zmienili.

Kawaler oparł się o kolumnę, lecz niemniej był blady jak gips co mu służył za podporę.

Po dniu nastąpiła noc ciemna: kilka świec gorejących na stołach sędziów, kilka lamp kopcących przy ścianach sali, złowrogi i czerwony rzuciły odblask na szlachetną twarz kobiety, która tak pięknie wyglądała na okazałych ucztach Wersalu.

Siedziała ona tam sama, krótko i pogardliwie odpowiadała na zapytania prezesa i czasem pochylając się ku swemu obrońcy, coś z nim po cichu rozmawiała.

Jej białe, gładkie czoło, nie straciło wcale wyrazu zwyczajnej dumy; miała na sobie suknię w czarne pręgi, której od czasu śmierci męża zrzucić nie chciała.

Sędziowie opuścili salę udając się na tajemną naradę; posiedzenie skończyło się.

— Może okazywałam zanadto wiele pogardy, mój panie? — spytała Chaveau-Legard'a.

— Ah! pani — odpowiedział tenże — zawsze pani będzie najlepiej, kiedy sama sobą będziesz.

— Patrzcie ją jaka dumna! — zawołała jakaś kobieta z grona widzów, jakby głos ludu odpowiadał na pytanie, które nieszczęśliwa królowa zadała swemu adwokatowi.

Królowa spojrzała na tę kobietę.

— I cóż! tak, Antonino, tak, powiadam ci, żeś dumna i że ta twoja duma właśnie cię zgubiła.

Królowa zarumieniła się.

Kawaler obrócił się ku kobiecie, która te słowa wyrzekła i łagodnie odpowiedział:

— Ona była królową.

Maurycy schwytał go za rękę.

— No — rzekł mu po cichu — nabierz odwagi, abyś się nie zgubił.

— O! panie Maurycy — odpowiedział kawaler — jesteś człowiekiem i wiesz że mówisz do człowieka. O powiedz, powiedz mi, czy sądzisz, że oni mogą ją potępić?

— Nietylko tak sądzę — rzekł Maurycy — ale jestem tego pewny.

— Co! kobietę! — łkając zawołał Maison-Rouge.

— Nie, królowę — powtórzył Maurycy. — Wszakżeś sam to dopiero powiedział.

Teraz kawaler nawzajem ujął Maurycego za rękę i z niepojętą na pozór siłą zmusił, aby się do jego ucha nachylił.

Było to wpół do trzeciej z rana. Pomiędzy widzami spostrzegano wielkie próżnie. Kilka świateł zgasło tu i owdzie i ustąpiło miejsca ciemności.

Strona, w której się znajdowali kawaler i Maurycy właśnie była jedną z najciemniejszych.

— Ale pocóż pan tu przyszedłeś, co pan tu robisz — spytał kawaler — pan, który przecie nie masz tygrysiego serca?

— Niestety — powiedział Maurycy — przyszedłem tu dowiedzieć się, co się stało z tą nieszczęśliwą kobietą.

— Tak, tak — rzekł Maison-Rouge — z tą, którą mąż wtrącił do więzienia królowej, z tą, którą tam w moich oczach schwytano?

— Z Genowefą?

— Tak jest z Genowefą.

— A więc Genowefa uwięziona, poświęcona przez własnego męża, zabita przez Dixmera. O! teraz już wszystko rozumiem. Kawalerze, opowiedz mi wszystko, co zaszło, powiedz mi, gdzie ona się znajduje, gdziebym ją mógł znaleźć. Kawalerze, ta kobieta, to moje życie, czy słyszysz?

— I cóż! widziałem ją; byłem tam, kiedy ją aresztowano. I ja także byłem tam w celu ułatwienia ucieczki królowej; ale dwa nasze projekta, względem których nie mogliśmy się porozumieć, zamiast nam dopomódz, owszem zaszkodziły.

— I nie ocaliłeś przynajmniej jej, twojej siostry, Genowefy?

— Albož mogłem? przedzielała mię od niej żelazna krata. Ah! czemuż ciebie tam nie było, czemuż nie mogłeś sił twoich połączyć z mojemi, przeklęta krata byłaby ustąpiła i bylibyśmy obie ocalili.

— Genowefo! Genowefo! — szepnął Maurycy, a patrząc na kawalera z nieopisaną wściekłością spytał: — A cóż się stało z Dixmerem?

Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Podarki gwiazdkowe.

Chyżym krokiem nadchodzi Boże Narodzenie, z nim *„Gwiazdka"*, zwana „świętem dzieci i młodzieży".

Dla tych zastępów, dla tej przyszłości, dzień gwiazdkowy szczególniejszego nabiera znaczenia, najbiedniejsi zaś nawet rodzice i opiekunowie nie żałują zabiegów i pieniędzy, ażeby rzeczywiście utrwalić w pamięci dziatwy, ten obchód doroczny. Obdarowywanie się wzajemne weszło w zwyczaj i stało się czemś nieodłącznem od wspomnianych świąt, skoro zaś jest to także jeden z tradycyjnych obowiązków, więc wyłamywanie się z pod niego mogłoby tylko zaszkodzić i zmniejszyć piękność obrządku.

Tu właśnie na tym punkcie rozpoczynają się prawdziwe kłopoty u tych wszystkich, którzy, a zwłaszcza które, stają na czele i w ręku swoim dzierżą ster gospodarstwa domowego. W dobrze i prawidłowo urządzonym budżecie osobną rubrykę stanowić powinny wydatki, że tak powiemy „gwiazdkowe", normy jednak stanowczo określić nie można. Zależy to od wpływów i dochodów danej rodziny.

Wysokość sumy, przeznaczonej na zakupno upominków dla osób drogich sercu, a szczególniej dla dziatwy i służby, każdy sam sobie powinien naznaczyć. Mogą to być zatem i setki koron i dziesiątki, a mogą równie dobrze figurować skromne kwoty centowe. Jakikolwiek jednak postawimy w tym celu do dyspozycyi fundusz, szafowanie nim umiejętne jest rzeczą bodaj najważniejszą.

Nietylko bowiem występuje tutaj na plan pierwszy pytanie: ile poświęcić na podarki gwiazd, kowe, ale nie mniej kłopotliwie brzmi druga kwestya: co kupić i czem obdarzyć młodzież i dzieci.

Odpowiedzi są bardzo trudne i nie myślimy też kusić się o danie szczegółowych przepisów-rad i wskazówek. Możemy tylko podjąć pewną próbę, pozostawiając czytelniczkom naszym uzupełnienie jej własną pomysłowością i doświadczeczeniem.

W Niemczech, gdzie obdarowywanie się „na gwiazdkę" większe jeszcze może, niż u nas przybiera rozmiary, rodziny mniej zamożne i zmuszone wiecznie liczyć się z groszem, cały nacisk kładą na to, ażeby prezenty były przedewszystkiem praktyczne.

Tę radę dobierania koniecznie przedmiotów praktycznych posuwa się teraz w przeważnej części aż do śmieszności i w gruncie rzeczy też syn lub córka otrzymują tylko to, co i bez „gwiazdki" staćby się musiało ich własnością, jak np. buty, suknie, staniki, bluzki i t. p„ nie wyszukane bynajmniej ani eleganckie, ale do codziennego użytku. Być może, iż jest to zwyczaj mądrze wyrozumowany, ale specyalnego uroku nie nadaje chyba wieczorowi wigilijnemu.

U nas zaś dzieje się dotąd zupełnie odwrotnie i sprawa czynienia zakupów odbywa się najczęściej zupełnie bezmyślnie. Wziąć pewną kwotę z kasy mężowskiej, udać się z nią po składach i wybierać, co się nadarzy, bez planu, a nawet bez z góry ułożonego celu, to rzecz powtarzająca się, z przedziwną regularnością, czrocznie o tej porze. I tu właśnie tkwi błąd, na który wobec bliskiej tradycyjnej „gwiazdki", chcielibyśmy zwrócić uwagę.

Nie zalecamy wcale naśladować ojców i matek niemieckich, uważamy jednak za rzecz pożyteczną trzymać się bądź co bądź tego, że wszelka zabawka, wszelki przedmiot, przeznaczony na zrobienie dziecku, lub młodzieży przyjemności, powinien odznaczać się praktycznością. Z zabawki właśnie tej powinien cośkolwiek skorzystać, czegośkolwiek się nauczyć. A czy odnosi się korzyść z głupiutkiego, bohomazowatego pajaca na sznurku? Czy przynosi pożytek posiadanie blaszanego wojska, biczyka, pałasika i wielu innych, tym podobnych bagateli, wyrabianych tysiącami po to jedynie, ażeby po kilku dniach powiększyły skład rupieci domowych?

Rzecz jasna, że wśród podarków, czy to dla malców, czy dla dzieci starszych na pierwszem miejscu stać powinna książka, oczywiście książka swojska, nie lichy fabrykat niemiecki, gdzie Michałka z fajką w rękach i w drewnianych trepkach na nogach nazywa się „naszym poczciwym kmiotkiem". Ale książka sama nie zastąpi wszystkiego, dziecko i młodzieniec mają prawo do zabawy.

Cóż im tedy ofiarować „na gwiazdkę?"

Nad tem właśnie należy się zastanowić wcześniej, ażeby zakupna nie pozostawiać na ostatnią

chwilę. Nam się wydaje, że każdy ojciec i każda matka, o ile tylko nieobojętnie patrzą na rozwój swoich dzieci, aż nadto w ciągu roku mają sposobności do wybadania skłonności i upodobań swojego potomstwa. Jeżeli zaś wyczuli te upodobania, to jedynie właściwą drogą będzie umiejętne wyzyskanie i pokierowanie temi skłonnościami. Niechaj więc chłopiec, lubujący się w wszelkiego rodzaju „dłubaninach", ma dzięki zabawce gwiazdkowej sposobność rozwijania w tym kierunku swoich skłonności i zdolności. Niechaj dziewczę z zamiłowaniem oddające się szyciu, otrzyma ową upragnioną lalkę i dobór gustownych do niej materyałów na ubranie. Niechaj dzieci myślące nauczą się za pomocą gier różnych zawiłych kombinacyi, niech dzięki loteryi przyswajają sobie znajomość historyi, geografii, zoologii, botaniki i t. d. Słowem, zabawka powinna nietylko „bawić", ale także „uczyć", i tą zasadą należy się kierować. Rezultaty bardzo prędko wykażą, jak dobrze, jak celowo postąpili ci, którzy chcąc zrobić przyjemność młodym, nie zapominali o pedagogicznem znaczeniu zabawki gwiazdkowej.



„Śpiżarnia i zapasy zimowe."

Oto najświeższa książka p. Marty Norkowskiej, którą wydała firma Gebethner i Wolff, ozdabiając ją licznemi rysunkami.

Która z pań dotąd jej niema — natychmiast w ten cenny zabytek dom zaopatrzyć powinna. Pani Norkowska — to jedna z najpracowitszych niewiast. Umysł żywy, energiczna, wytrwała, niestrudzona. Ciągle robi nowe ulepszenia, ciągle szuka, ciągle uczy się sama, aby tym lepiej pouczać innych. To też każda jej książka to zbiór cennych wskazówek, opartych na doświadczeniu, obmyślonych z całą pieczą nad dobrem każdego gospodarstwa domu polskiego, przez rozumną i wykształconą kobietę. Można im ufać.

„Ogólne uwagi o konserwowaniu produktów spożywczych, konserwy, kompoty, konfitury, powidła, marmolady i sery owocowe. Galarety owocowe, soki i syropy, owoce w occie, spirytusie, araku, suszenie owoców, jarzyn, konserwy z jarzyn sterylizowane, wina owocowe, nalewki i likiery, konserwy mięs, solenie i marynowanie mięs, wędliny, mleko, masło, sery, wreszcie bardzo pożyteczne uwagi w rozdziałach: sprzęt i opakowanie owoców, domowe sposoby badania produktów spożywczych i kalendarz robót w ogrodzie, oto treść książki starannie opracowanej i jasno napisanej".

Wraz z trzema poprzednio wydanymi tomami pt. „Najnowsza kuchnia", „Piekarnia i cukiernia", „Gospodarstwo domowe", książka ta kompletuje całość, którą powinna mieć każda dobra gospodyni. — Biblioteczka tak zaopatrzona nie jest tylko poziomą troską o zadowolenie chwilowe smakoszów.

Dobry zarząd i administracya domem, dobra strawa, dobre zużykowanie zapasów i dobre ich urządzenie to zdrowie, humor, dobrobyt i... szczęście. A do zdobycia tego dopomaga umiejętność, której nabrać można studyując bacznie książki pani Norkowskiej. Niechże nasze Sz. Gospodynie, kupując te książki, ułatwią sobie trudy codziennego życia.

K. L.

Serce ludzkie często miewa sny...
mówi komuś: „Tak, to jesteś ty!"
a naprawdę co tkwi w sercu tem —
było tylko jego własnym snem!

K. Tetmajer.

Dom i kuchnia.

Pomidory jako podanie do pieczeni.

Ładne dojrzałe pomidory, poprzekrawać, układać je w rondel taki, w którym się zapiekają różne potrawy. Układać tak: warstwa pomidorów, warstwa bułki czerstwej tartej, lub grzanek usmażonych na maśle, trochę dobrego masła surowego i tak dopełnić rondelek, zapiec to w gorącym piecyku lub równo dusić na ogniu. Z rondelkiem podaje się na stół. Bardzo dobry to dodatek do pieczni wołowej, cielęcej, polędwicy wieprzowej. Kto lubi, może dodać odrobinę cukru.

Ekstrakt pomidorowy.

Większą ilość pomidorów oczyszczonych dusić w swoim sosie tak długo, dopóki się nie rozgotują. Wówczas przetrzeć je przez gęste sito, i do masy tej dodać kwaterkę dobrego octu, kwaterkę soli, pół łuta tłuczonych goździków, pół łuta pieprzu Kajena i pół główki czosnku obranego i drobno pokrajanego. Całą tę masę gotować na wolnym ogniu trzy godziny, potem jeszcze raz przez

sito przepuścić, zlać w butelki, zakorkować i trzymać w chłodnem miejscu.

Ekstrakt ten dodany w niewielkiej ilości, poprawia smak rozmaitych sosów, tak przy pieczystem, jak i w potrawach, a nawet dodany do niektórych zup, podnosi ich dobroć.

Kluski z jabłek lub gruszek.

Jabłka lub gruszki obrać, pokrajać w plasterki i z dodaniem małej ilości wody, ugotować na miękko. Przetrzeć przez sitko, a gdy marmelada ostygnie, dodać trochę słodkich migdałów drobno usiekanych, cukru miałkiego, 1—2 jaja, trochę masła i tartej bułki tyle, aby masa była dosyć gęstą. Formować okrągłe kluseczki, jak orzechy, które ugotować na lekko w osolonej, wrzącej wodzie i polać z masłem rumianem, sokiem owocowym lub szodonem.

Piernik bardzo dobry.

Kwartę miodu gotować, aż się zrumieni; wlać do donicy, a jak przestygnie, mieszać. Wbić potem 5 żółtek po jednemu, a białka zostawić na pianę. 1 kwartę mąki pszennej i 100 włoskich orzechów posiekać, potażu łyżeczkę, troszkę pieprzu, cynamonu, angieiskiego ziela, gwoździków, skórkę pomarańczową — wszystko to dobrze wyrobić... i na blasze wysmarowanej wsunąć do pieca.

Gwoździe w kąpielni

i kuchni na których się wiesza wilgotne szmaty lub ręczniki, powinny być pomalowane, co sprawia, że nie rdzewieją, a tem samem nie plamią, co się na nich wiesza.

Plamy od owoców,

jarzyn, kawy i herbaty można usunąć, jak następuje: Miejsce splamione pokryć grubo solą, wciąć dobrze, następnie wypłukać w gorącej wodzie, do której dodaje się dosyć dużo boraksu — plama zniknie napewno.

Pranie czarnych koronek.

Butelkę piwa czarnego wylać na miskę, dolać tyleż letniej miękkiej wody, w połowie tej mieszaniny prać po jednej sztuce koronki, potem w drugiej połowie płukać lekko złożone, wyciskać, i zaraz rozkładać na ręcznikach. Gdy już do połowy przeschną — kłaść równo na prasowalnik i na pół gorącym żelazkiem prasować po lewej stronie, nie naciskając.

Tak prane koronki zachowują czarność i sztywność nowych.

Toaletki i stoliki

należy wpierw nakryć dużym kawałkiem bibuły (jakiej się używa w biurach na biurkach), następnie dopiero serwetką. Bibuła bowiem absorbuje wszelki tłuszcz, wodę etc., które się mogą rozlać na powierzchni i w ten sposób zabezpiecza się meble od zniszczenia.

W pralni.

Dodać trochę nafty do krochmalu przy praniu. Przy prasowaniu krochmal nie będzie przylegał do żelazka.

Pranie rękawiczek zwanych oficerskie.

Tę nazwę rozumie każdy prawie rękawicznik. Prane w domu o wiele dłużej trzymają się czyste i mniej to kosztuje. Wziąć kieliszek amoniaku w płynie, kieliszek oleju stearynowego (to wszystko kupić w drogeryi) dodać 2 szklanki wody przegotowanej letniej. W połowie tego płynu wyprać rękawiczki, w drugiej połowie je wypłukać, w rękach wycisnąć, na ręczniku rozłożyć, w każdą dmuchnąć i zawiesić, by powoli, równo schły. Gdy są w połowie wyschnięte, przetrzeć je w rękach, a po pewnej chwili na ręce włożyć. Zdjąć, nierozciągając bardzo.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Zupa pomidorowa, z ryżem, zając z czerwoną kapustą krem czekoladowy.

Poniedziałek. Zupa cytrynowa, pieczeń wołowa z jarzynami, kompot z jabłek.

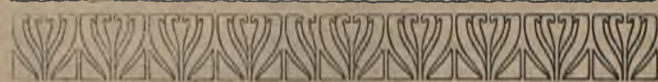
Wtorek. Rosół z lanemi kluseczkami, pieczeń cielęca z burakami, konfitury.

Środa. Czernina, pieczone kaczki, szarlotka z jabłek.

Czwartek. Zupa ogórkowa, zrazy zawijane z kaszą, omlet z konfiturą z marchwi.

Piątek. Zupa jarzynowa, pierogi nadziewane grzybkami z kapustą, legumina z ryżu.

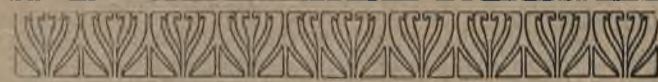
Sobota. Zupa z cynader na kwaśno, kotlety wieprzowe z jarzynką.



Uczmy dzieci nasze i sąsiadów czytać i pisać po polsku...

Wtajemniczajmy je w krzepiące ducha i serce dzieje narodu naszego...

Uczmy dzieci być Polakami o silnym charakterze, o woli niezłomnej, nieugiętej.



:: HUMORYSTYKA ::

Humor w sali sądowej.

Jeden z dzienników szwajcarskich opowiada o następującej zabawnej scenie sądowej. Pewnego dziennikarza, który stawał jako świadek, młody i zbyt ufny w swoją powagę sędzia dręczył niepotrzebnemi pytaniami: „A więc pan jesteś dziennikarzem. W jakim dzienniku pracuje pan?“ — mówi sędzia.

— W żadnym — odpowiada zniecierpliwiony dziennikarz.

— Ale sam pan nazywasz się dziennikarzem — powiada sędzia. — Więc co pan właściwie piszesz.

— Co mi do głowy wpadnie — odparł dziennikarz.

— Może pan pisał kiedy o rozprawach sądowych? — zapytuje sędzia.

— Tak.

— A jakiego rodzaju rozprawy sądowe uznajesz pan za godne swojego pióra — zapytuje sędzia z przekąsem.

— Kiedy widzę, że młody sędzia w sposób lekceważący obchodzi się z poważnym świadkiem.

Trybunał uśmiecha się, a młody sędzia po chwili powiada:

— A ile pan dostaje za tego rodzaju pisanie?

— Zależy od opisanych osób. Jeżeli sędzia jest szanowany i poważny, dostałbym 20 marek.

— A jakie honoraryum dostałbyś pan, gdybyś opisał scenę, która się teraz tutaj rozgrywa?

— Może 80 fenigów — odpowiada dziennikarz.

Sędzia przestał go pytać



Czuły mąż.

— Ja tak w pierwszych chwilach kochałem żonę, iż ją chciałem zjeść pocałunkami.

— A teraz?

— Teraz żałuję bardzo, że jej dawniej nie zjadłem.



Z pewnego koncertu.

— Co pani sądzi o dzisiejszym koncercie?

— Ach panie, sądzę, że są wypadki, w których głuchota nie jest wielkiem nieszczęściem!...

Pierwsza czynność.

A.: Już pan na nogach? Wyspałeś się pan dobrze?

B.: Tak, to była pierwsza moja czynność zaraz z rana!



Biedne kobiety.

Mała Marynia: Mamo, jak dorosnę, i wyjdę zamąż, czy będę miała takiego męża, jakim jest tata?

Matka: Prawdopodobnie, moje dziecko.

Mała Marynia: A jeżeli nie wyjdę zamąż, czy będę właśnie taką starą panną, jak ciotka Agata?

Matka: Ma się rozumieć.

Mała Marynia: Ach, mój miły Boże! Nam kobietom doprawdy, bardzo źle na świecie!



Wyjaśnienie.

— Dla czego spacerujesz z żoną tylko wtedy, kiedy jest zimno na dworze?

— Bo wtedy szyby wystawowe w sklepach są zamarznięte.



Omyłka.

Pan do lokaja: Janie, idź do pani hrabiny i powiedz, że pani markiza przybyła.

Jan idzie i oświadcza: Melduję pokornie jaśnie pani, co te nowe ralusy już przywieźli.



Strajk dziecięcy.

— Mamo, zostałem wybrany przez rodzeństwo na przewodniczącego strajku. Żądamy usunięcia rosołów przy obiedzie, podwyższenia pensyi kieszonkowej i 14-stogodzinnego snu.

— No, a jeżeli ja nie przyjmę tych warunków?

— To wypijemy nalewkę wiśniową, która stoi za piecem.



Jeden jegomość zgrawszy się w karty, przywiedziony do ostatniej rozpaczy, pożyczył sobie parę pistoletów... i zastawił je.

Tymbark, 15/10 1910.

Wielm. Pan
Stanisław Tomaszewski,
Kraków.

Proszę uprzejmie o cztery mapy Polski.

Przy tej sposobności, proszę przyjąć wyrazy uznania i podziękowania za tak szlachetną i pożyteczną pracę, która dla naszego społeczeństwa i młodzieży jest bardzo praktyczną i konieczną, gdyż uczy praktycznie i poglądowo historyi polskiej.

Z poważaniem
Ks. Stanisław Rzepecki.

Powyższe pismo to jedno z licznych zamówień na czwarte wydanie Mapy Polski Stanisława Tomaszewskiego — zawierające podobizny królów polskich z ich krótkimi życiorysami, herbami województw, biskupstw i miast polskich, pięć okresów historyi Polski oraz szersze dane najważniejszych dat historycznych. — Prawdziwa to ozdoba domu polskiego i rzecz celowo pedagogiczna. Cena 4 marki, dla prenumeratorów „Głosu Wielkopolanek" 3 mk. i „Tyg. Narodowego" tylko 3 Kor. franko. Adres zamówień: Stan. Tomaszewski, Kraków, Bonerowska 14. Pieniądze przesyłać można także w niemieckich znaczkach pocztowych.

3 Korony wynosi rocznie z przesyłką pocztową prenumerata - - **Straży Polskiej.**

Straż Polska jest organem stowarzyszenia, noszącego tę samą nazwę, a mającego na celu obronę duchowych i materyalnych interesów narodu polskiego.

Straż Polska nie służy żadnemu stronnictwu jest pismem czysto narodowem.

Do współpracowników **Straży Polskiej** należą: prof. A. E. Balicki. K. Bartoszewicz. Dr. Ł. Caro. Dr. J. Flach. Prof Dr. Tad. Grabowski. Kazim. Gliński. Wiktor Gomulicki. Wanda Krzyżanowska. Dr. Kaz. Łubecki. Prof. M. Magiera. Prof. Czesł Pieniążek. Dr. J Ptaśnik. Dr. Łucyan Rydel. Henryk Sienkiewicz. C. Smólski. JE. Stanisław Tarnowski i t. d.

Adres: **Straż Polska, Kraków, Floryańska 1.**

Rządowo uprawniona

Fabryka wód mineralnych sztucznych i specyalnych leczniczych

pod firmą

K. RZĄCA i CHMURSKI

w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy L. 4

wyrabia pod kontrolą Komisyi Przem. Tow. Lek. polecone przez toż Tow. **Wody mineralne sztuczne,** odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshüblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Hombug, Kissingen, tudzież **specyalnie lecznicze,** jak: Litową, Bromową, Jodową, Żelazista, Kwaśną, oraz **Wody lecznicze normalne** z przepisu prof. **Jaworskiego.** Sprzedaż cząstkowa w aptekach i drogeryach.

Cenniki na żądanie franko.

Kalosze

rosyjskie i amerykańskie.



Rogówki

kokosowe i szczotkowe.

Farby olejne

do użycia gotowe, szybko schnące do schodów, okien podłóg i drzwi.

Lakiery i glazura do podłóg (krajowa)
Masa francuska i woskowa (krajowa).
Linoleum do podłóg.
poleca

L. Weindling, Kraków,

pod złotą Gwiazdą, dom WP. Suskiego
ul. Grodzka 26. Telefon 996.
Dwa razy dziennie wysyłki pocztowe.

Skład maszyn do szycia :: i maszyn do pisania :: oraz warsztat naprawy

Ignacego Grossa

pod kierownictwem

Jana Pojego, mechanika - specyalisty
:: w Krakowie, Starowiślna l. 1 ::
(naprzeciw głównej poczty).

Sprzedaje i naprawia maszyny do szycia i do pisania po cenach umiarkowanych. Cenniki ilustrowane == darmo i opłatnie. ==

Komplet. urządzenia i dekoracye

sypialń, jadalń, gabinetów, salonów, pokoi dla dzieci — projektowane przez architektów i artystów malarzy, od najskromniejszych do najwykwintniejszych

Józef Sperling,

ulica Dunajewskiego l. 7. (Podwale 14).

Torebki damskie

poleca najtaniej

Z. Ziembicki

Kraków, Pl. Maryacki 2
obok W-go Herliczki.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.